Nr. 44 Warszawa, dnia 19 (31) Października 1896 r. Rok XVI

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

KODEKS WOJSKOWY.

Nareszcie mają już Niemcy projekt nowej procedury w sądach wojskowych; może mieć będą i samą procedurę wymaganiom postępu i sprawiedliwości, a prawom społeczeństwa cywilnego odpowiadającą. W środku tego miesiąca książę Hohenlohe złożył radzie związkowej zatwierdzone przez cesarza wypracowanie, które zapowiedział był jeszcze w d. 18 maja r. b. w sejmie niemieckim. Niewiele już brakło do tego, aby wylewając wodę z niecki, wraz z nią nie wylano i dziecka. Niemieckie przysłowie zastosować się daje dobrze do tej niemieckiej surowości, która opierała się reformie z obawy rozluźnienia przez nią karności wojskowej. Sam cesarz Wilhelm obawie tej ulegał, a zaufany szef jego gabinetu wojskowego, gen. v. Hahnke, utwierdzał go w oporze. Stary kanclerz przecież osobiście zbyt już był własnem przygwożdżony słowem, aby mógł wprowadzenia projektu na radę związkową teraz już, z początkiem jesieni, nie uznać za sprawę nietylko przekonań swoich, których żar pewno wielki nie jest, ale i osobistego honoru, który już żarliwej domagał się obrony.

Kto tylko rozumie żargon półurzędowy, ten nie wątpił, że podróż kanclerza do Wilhelmshohe w początku sierpnia ściśle łączyła się ze sprawą zapowiedzianej już przez niego reformy. Stary książę pojechał do swego pana z podaniem się do dymisyi wrazie stanowczego, na co wówczas się zanosiło, odrzucenia myśli postępowej przez rząd ogólno-niemiecki. Cesarz namyślił się i porzucając opór, utrzymał kanclerza. Współczesne stanowisko ministra wojny. Bronsarta von Schellendorfa młodszego, wobec sporu— jasno jeszcze określić się nie da: darł on koty z Hahnkem. a w kilka dni po pomyślnym wyniku podróży do rezydencyi pod-kaselskiej zażądał uwolnienia ze służby. Cesarz dał mu je w d. 16 sierpnia i wziął sobie na następcę po nim gen. Gosslera. Zamianowany w porozumieniu z kanclerzem, nowy minister wkrótce wpadł w nieporozumienie z darzonym stałą łaską cesarską owym szefem. Powodem niesnasek była znowu procedura nieszczęsna. Szef, wyparowany już z pozycyi, chciał jeszcze ocalić nietykalną zasadę karności przez unicestwienie reformy; pragnął ją sprowadzić do błahostek, aby, robiąc niby coś, istotnie nie zrobić nic.

Rozeszły się były wówczas pogłoski o dymisyi gen. Hahnkego; szef przecież pozostał i obecnie jeszcze pełni obowiązki pierwszego doradcy wojskowego cesarza Wilhelma. I on zatem uledz musiał; projekt dojrzał mimo jego niechęci i w tej chwili rada związkowa już go rozpatruje. Stary kanclerz umiał jeszcze kły pokazać — dzięki podrażnionemu uczuciu godności osobistej. Mizerna jest ta kuchnia dziejów — zarówno wielkich, żyjących w historyi, jak małych, przez potoczną tylko, znikomą pamięć zatrzymanych.

Dla publiczności gazetowej projekt wniesiony na radę związkową jest jeszcze mitem; ale i to dobre, że już jest. Niemcy mogą z pewnem prawdopodobieństwem domyślać się przeprowadzonej w nim zasady jawności, o którą głównie im chodziło. W armiach nowoczesnych służą całe narody: nie może więc być dla nich obojętnem postępowanie sądowo-karne podczas pełnienia służby przez powoływane do armii pokolenia młodzieży. Nietylko żołnierzowi, ale i ojcu i matce zabranego do wojska, wiele zależy na metodzie karania, zarówno podręcznego, dyscyplinarnego, jak i sądowego. Dwustronna potrzeba reformy silniejszą była może w Niemczech, niż w innych państwach europejskich; tradycye bowiem samowoli i krzywdy nigdzie nie były tak smutne, a tak wołające o pomstę.

Junkierstwo pruskie pozarażało wojska innych tetrarchij, wchodzących w skład cesarstwa, niesłychaną butą. Musiało zło być wielkiem, kiedy już w r. 1862 myślano w Prusiech o wprowadzeniu jawności, któraby je skrępowała obawą wstydu społecznego, a jednocześnie i sędziów wojskowych pobudziła do lepszej sprawiedliwości. Ta jawność w kodeksie nowym prawdopodobnie jest już na zawsze zdobytą; bez niej reforma mogłaby ucieszyć owego tylko szefa gabinetu i byłaby najdoskonalszem przelaniem z pustego w próżne. Rozmiary jawności stanowić będą o wartości jej samej. Drugim punktem węgielnym jest ograniczenie karania podręcznego przez oficerów i podoficerów i sprowadzenie go do *minimum*, potrzebnego przy samem nauczaniu, a niezbędnego dla sprężystości funkcyj wojskowych. Trzecim jest usamowolnienie sądów. Dopóki te nie działają samoistnie, tak jak sądy cywilne, i potrzebują się oglądać na pióro, które ich wyroki podpisywać będzie, dopóty o sprawiedliwości rzetelnej, niejun-

kierskiej, mówić nawet nie można. Te trzy zasady wniosą stronnictwa postępowe sejmu niemieckiego do rozpraw, które będą niezmiernie zajmujące, a bardziej jeszcze dla historyka obyczajów i umysłowości tegoczesnej w Niemczech, niż dla polityka sprawom bieżącym oddanego. Najżywicj śledzić je będą—serca ojców i matek.

Tydzień polityczny. Skutku zapowiedzianej nowej „akcyi“ w Konstantynopolu dotychczas nie widać. Nikt jeszcze nie zażądał od sultana reform powszechnych w całem państwie, a żądanie przewidywane wielki wezyr odbić będzie mógl formalnie już zeszłego roku spełnionem ulepszeniem zarządu tak w Azyi, jak w Europie, które jednak, jak wszystko co z pod ręki sułtańskiej wychodzi, martwą pozostało literą. Taki również jest dotychczas los odgrzanego we wrześniu r. b. irade zeszłorocznego: nikt o wykonaniu go nie myśli. W depeszach przechwala się w. wezyr zamianowaniem w Armenii czterech pomocników gubernatorskich z pomiędzy chrześcian: ale i tu nie wiadomo, co jest czynem, co myślą, a co szczerą wolą. Sultan nie przestaje wyszukiwać spiskowców: młodoturków i Ormian; dojrzał nawet ze Stambulu spisek 2,000 Armeńczyków w Warnie, gdzie jest tylko garstka wychodźców, zbiegłych przed prześladowaniem. Najżywszą ze spraw bieżących Turcyi jest teraz niemoc jej skarbu. W azyatyckiej swej głowie Abdul-Hamid znalazł na nią lekarstwo w obcięciu pensyi wszystkim urzędnikom i w przymusowej pożyczce wewnętrznej, która pod formą dodatku do pogłównego ma dostarczyć funduszów na obronę porządku, tj. systematu rządowego; chce ją sułtan powierzyć umyślnie w tym celu zorganizowanej ludności mahometańskiej. Organizacya taka byłaby machiną do rozbijania, prześladowania i mordowania nie muzułmanów, tj. chrześcian. Mocarstwa słusznie przeciwko niej zaprotestowały. Dwór stambulski odpowiedział wymijająco; zamiaru się nie zrzekł i Europa czuwać jeszcze ma obowiązek.

Na Węgrzech wybory, jak zawsze namiętne, w samym juz swym okresie przygotowawczym przyniosły wylewy krasomówstwa, urozmaicanego przelewem krwi. Z Galicyi nawet na pogranicze wojsko wysłać musiano. Stronnictwo liberalne, rządowe, dotychczasowej przewagi wydrzeć sobie nie da. Najżywiej poruszająca umysły sprawa ugody z Przedlitawią w programatach politycznych kształtuje się w stanowczą odmowę: ani centa więcej nad to, co dzisiaj. Jeżeli porozumieć się nie będzie można z rządem przedlitawskim, sam panujący spór rozstrzygnie, ale lepiej-by mu było tego piołunu oszczędzić.

W Przedlitawii wybory do sejmów krajowych z powodu upływu sześciolecia. W Galicyi żywioły, nizin społecznych przedostają się na wierzch; do rad powiatowych wchodzą włościanie; po wsiach stawiają kandydatury maluczcy: po miastach więcej teraz niż przed dawniejszymi wyborami widać krytycyzmu, szczerości i odwagi. Stańczykostwo i szlagoństwo wypierane z pozycyi. Wyniki też ostateczne będą lepsze od dawniejszych, choć doskonałych spodziewać się jeszcze nie można.

P. Badeni d. 27 b. m. w komisyi budżetowej, przy obronie funduszu dyspozycyjnego, znalazł znowu sposobność do odparcia napaści młodoczechów i ich wrogów, lewicy niemieckiej. Uchwalenie funduszu jest obowiązkiem względem państwa; utrzymanie pokoju między narodami — obowiązkiem i zarazem prawem rządu.

D. 27 b. m. zebrały się Izby francuskie; obie uchwaliły telegramy dziękczynne do Najaśniejszego Cesarza Wszech Rosyi. Meline podziękował gorącemi słowy.

D. 24 b. m. odbyły się w Rzymie zaślubiny przyszłego króla włoskiego z księżniczką czarnogórską, Heleną.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Gimnazyum żeńskie. — Reorganizacya szkół średnich. — Krakowskie Koło nauczycieli szkół wyższych. — Sejmik relacyjny.

Z paromiesięcznej drzemki letniej mieścina podwawelska zbudziła się, ocknięta nagle wypadkiem nadzwyczajnym... niebywałym: otwarto gimnazyum dla dziewcząt! Od czerwca wprawdzie krążyły po mieście pogłoski, że rozpoczęły się już wpisy, ale dobrze myślący ludzie, stróże i stróżki porządku społecznego kiwali niedowierzająco głowami, nie tracąc nadziei, że sprawę tę uda się zdusić w zarodku, jak tyle innych, że do publicznego zgorszenia nie przyjdzie i będzie dalej, jak bywało. Niestety, przyszło do publicznego zgorszenia: dnia 4 września odbyła się uroczystość otwarcia gimnazyum i poświęcenia lokalu szkolnego. Prywatnemi silami dźwignięte stanęło, prywatnymi środkami utrzymywane będzie; do gotowego już dzieła władza świecka i duchowna zbliżyć się raczyła po to tylko, aby w łaskawości swoje na niem wycisnąć pieczęcie.

Uczenic zapisanych 31, plan lekcyj obejmuje: religię tygodniowo 1 godzina, język polski 4, historya Polski 2, język łaciński 5, francuski 3, niemiecki 3, matematyka 3, geografia 2, zoologia 2, rysunki 2, gimnastyka 1.

„Towarzystwo szkoły gimnazyalnej,“ będące właściwie tylko gałęzią „Stowarzyszenia pomocy naukowej im. J. J. Kraszewskiego,“ zakładając gimnazyum dla dziewcząt, pragnie dać im należyte przygotowanie do studyów uniwersyteckich. Niemałą zachętą dla inicyatorów był zapewne reskrypt ministeryum oświaty z dnia 19 marca 1896 roku, dozwalający doktorkom zagranicznym uprawniać tu swe dyplomy, chociaż pozwolenie to najeżone jest wielu kolcami. Otwierając gimnazyum dla dziewcząt, odłamano jeden z tego cierniowego wieńca i to nie najdrobniejszy: kandydatka nie będzie zmuszoną tułać się po obczyźnie dla osiągnięcia świadectwa z egzaminu dojrzałości, natomiast dyplomowana za granicą będzie uwolnioną od konieczności ponownego poddawania się maturze gimnazyalnej.

A miasto?. Jak ono się zapatruje na ten nowy zakład? Żegnało się, wzruszało pogardliwie, lekceważąco ramionami, obecnie przyjmuje pobłażliwie zło istniejące. Niektóre mamy z „inteligencyi“ już nawet obliczyły, że to bynajmniej nie drogo 10 reńskich miesięcznie. Wykładają profesorowie ci sami, którzy w gimnazyach uczą chłopców — nauczycielka tyle kosztuje, jeżeli nie więcej; gdyby tylko trochę dodano francuskiego i angielszczyzny, a nie tykano innych przedmiotów, tak nie potrzebnych dla dziewcząt! Pan dyrektor, Trzaskowski, zapewne ich życzeń wysłucha.. spodziewają się. A wtedy sale szkolne dziś przestronne wypełnią się po brzegi panienkami z „inteligencyi.“

Tymczasem ojcowie narodu pracują... Sprawa wyższego wykształcenia kobiet na razie nie zajmuje ich, nic grozi jeszcze nikomu i niczemu, uwaga ich skierowana w inną stronę. Lękając się „nadmiaru“ inteligencyi, przemyśliwają nad sposobami utrudnienia uboższej młodzieży przystępu do szkół średnich... Pauperyzm, jak powiada sprawozdawca wniosku komisyi szkolnej nie przestaje być rakiem, gryzącym nasze szkolnictwo; paraliżującym w tylu wypadkach najrozumniejsze zabiegi około podniesienia naszych szkół i wyższych zakładów naukowych. Zbyteczny napływ biednej młodzieży jest faktem charakterystycznym, wyróżniającym wy-

2)

Jan Henryk Mackay.

Naraz przypomniał sobie.

Gdy nazajutrz rano wstał, czuł się młodym, jakby mu ubyła połowa wieku. Zjadł śniadanie z wielkim apetytem i rozkoszował się niezmierną treścią dziennika, podobną do stereotypowej wystawy małego bazaru.

Wszystko to czynił szybko. Bo wciąż wołało go na ulicę jasne słońce i ciągnął popęd jakiś nieodparty, choć dotychczas z nieokreślonym celem.

Nie wiedział dobrze, dokąd iść, a przecie wiedział. Bo przeszedł aleję starego teatru, wciąż przed kościołem o wysokiej ostrej wieży — czy nie nazywał się on kościołem świętego Tomasza? — nareszcie oparł się o stary Pleissemburg. Tu zatrzymał się.

I znów, jak wczoraj przy uwiadomieniu pocztowem, wynurzył się pośród jego wspomnień jej obraz, obraz jasny i dokładny. Widział ją taką, jaką była w chwili pożegnania.

Tu w tem samem miejscu stali okryci cieniem późnej godziny. Umówili się, że rozstaną się nie na dworcu, ale na tym placu. Przyrzekł jej wrócić w ciągu roku i wierzył w to mówiąc.

Prosił ją, aby podniosła dobrze twarzyczkę, chcąc jeszcze raz przyjrzeć się tym rysom wzruszająco delikatnym, jeszcze bardziej ukochanym dla niego, niż jej młodość i wdzięk miłosny. Potem zamienili długi pocałunek, aż dwaj studenci na pół pijani spłoszyli ich swojemi śpiewkami bezsensownemi.

— Wróć, zaklinam cię — wyrzekła ona cicho głosem błagającym, jakiego czasem używała.

— Napewno, napewno wrócę.

Tak, tu on był teraz. Pogrążył się jeszcze bardziej w zadumę, wiedział nareszcie, kędy chciał iść, kędy szedł, gdzie ona nań czekała. I dał się unieść ukrytej sile.

Bez zwłoki przeciął prawie całe miasto, idąc brzegiem rzeczki aż do Konewitz. Potem szedł na ukos przez pola, szukając letniego zakładu kąpielowego, którego imienia już nie pamiętał. Pytał kilku przechodniów, opisując im to, czego szukał. Nareszcie przypomniał sobie nazwę: Tischerbad! Wskazano mu drogę, podążył nią, nie patrząc nawet na budujące się nowe domy, zostawił wnet za sobą ostatnie ulice i wszedł w pustą przestrzeń. Ukazała się polanka lasu, dotarł do niej.

Zakład kąpielowy stał milczący i zamknięty; surowy prawie uroczysty pokój panował w około. Nie odpowiadało to jego nastrojowi, znowu obejrzał się, chcąc rozpoznać, którędy ma iść teraz. Należało trzymać się ciągle rzeki. Ruszył więc cieniem drzew. Woda o ciemnych tonach płynęła leniwie — nigdzie żywej duszy.

Tak przybył do szyneczku, zbudowanego na brzegu. Drugi, właściwie budka z desek, w której latem sprzedawano napoje chłodzące przejezdnym wioślarzom, był opuszczony i zamknięty. Tam także pewnego wspaniałego wieczoru siedzieli oboje, młodzi ludzie, uśmiechający się do gwiazd na wiosennem niebie, przytuleni do skrzydła wielkiego swego szczęścia, znajdując mało słów, ale udzielając sobie swoje uczucia uściskami rąk, delikatnemi pieszczotami i niekończącymi się pocałunkami. Przypłynęli łódką i łódką odpłynęli..

Starzec odwrócił głowę i żywo zaczął znowu iść, nie opuszczając wybrzeża i nie patrząc przed siebie.

Myślał teraz o sposobie, w jaki poznali się owego pamiętnego wieczoru.

Tłum karnawałowy otaczał go swoim hałasem, on błąkał się od stołu do stołu,

bitnie szkoły galicyjskie. Typ studenta, przymierającego z głodu, jest specyficzną własnością naszego kraju. Nie pragnienie oświaty zalewa nasze gimnazya licznymi zastępami, ale niezadowolenie rodziców z własnego położenia, złudna nadzieja, że patent gimnazyalny będzie dla dziecka tym ratunkiem, które je w przyszłości uchroni od gryzących trosk życia*)...

Wydział krajowy zmienił statuty wyższej szkoły rolniczej w Dublanach, ale ostrzejsze przepisy — pociesza on swych wychowańców (obecnie szkoła pozostaje pod jego zarządem, a nie kuratora jak dotąd)—są zupełnie usprawiedliwione; szkoła zyska tylko na znaczeniu, a młodzież dzięki tym rygorom i ostrym egzaminom otrzyma gruntowniejsze wykształcenie, na którem jej przedewszystkiem zależeć powinno!

Także o rygorze i o karności w szkole średniej radzić będzie krakowskie Koło nauczycieli szkół wyższych, ale uczyni to dopiero na następującem posiedzeniu. Na ostatniem zastanawiano się tylko nad kwestyą, jakie utwory dramatyczne wybierać należy do czytania z młodzieżą w szkole. Należy wybierać dramata, ukazujące ludzi o duszy potężnej, ale ześrodkowującej znamiona dodatnie, ludzi, dla których walki, zwycięstwa lub upadku żywilibyśmy współczucie. *Balladyna* Słowackiego tych warunków nie posiada, gdyż widok przypadku, sprowadzającego groźne i ponure komplikacye w życiu jednostek i społeczeństwa, nie może być dodatnim czynnikiem wychowawczym. Kary i nagrody, wymierzone w tym dramacie są nierówne dla złych i dobrych, co wywołuje wrażenie pogwałcenia sprawiedliwości; w szkole z tym motywem liczyć się należy. Z tego wynika, że szkoła powinna dać poznać ustępy fantastyczne z *Balladyny*, do całkowitego czytania z rozbiorem nadaje się raczej *Lilla Weneda*.

Jednomyślnie zgodzono się na te wywody. Nie tak spokojnie i cicho było w sali radnej na sejmiku relacyjnym, na którym panowie: Sokołowski i Weigel składali sprawę ze swych czynności przed wyborcami. Mówcy nie wielkiemi zdobyczami, wywalczonemi w parlamencie dla miasta, pochwalić się mogli, a i to, co uczynili zakwestyonowano: Poseł Sokołowski wystarał się o udzielenie 200,000 złr. na restauracyę katedry wawelskiej, popierał sprawę powiększenia płac urzędnikom, był rzecznikiem rzemieślników w komisyi przemysłowej, upominał się o zapomogi dla szkół zawodowych, jego wpływowi zawdzięczają szewcy krakowscy, że uwzględniono ich przy dostawach, on działał w sprawie reformy podatku domowoczynszowego na korzyść żywiołu miejskiego. Skutkiem jego starań szkoła handlowa otrzyma większy zasiłek ze skarbu; przemawiał też za reformą szkół średnich i wzniesieniem dla nich budynków, za podwyższeniem płac profesorom, za zniesieniem opłat szkolnych. Że wszystkie te plany w czyn zamienione nie zostały, to chyba nie jego wina, — ma nadzieję, że wyborcy zrozumieć to i uwzględnić zechcą.

Drugi mówca, dr. Weigel, przedstawił się jako poseł [illegible] i *pracowity*: jest przewodniczącym dwóch komisyj, zastępcą przewodniczącego również w dwóch komisyach, a członkiem czynnym trzynastu; nie ma zamiaru składać szczegółowego sprawozdania, uważa bowiem, że zgromadzeni nie okazują zbyt wielkiej chęci do wysłuchania go; pracować zaś dla dobra kraju i miasta zamierza i nadal, jak dotąd, odgraża się jednak, że po skończeniu kadencyi poprosi o uwolnienie od tych ciężkich obowiązków.

Ar.

*) O tej sprawie pisał już szczegółowo inny korespondent nasz z Galicyi w przeszłym numerze *Pra-*[illegible]

PRZYTUŁEK RZEMIEŚLNICZY.

W bieżącym miesiącu nasze zorganizowane miłosierdzie publiczne wzbogaciło się o jedną instytucyę, przeznaczoną dla inwalidów pracy fabrycznej i rzemieślniczej. W tych dniach za rogatką Wolską przy ul. Młynarskiej otwarto przytułek dla nich, który początkowo pomieści może tylko piętnastu pensyonarzów. Sprawa tego zakładu w ciągu paru lat przebyła różne fazy, wywołała mnóstwo sporów, które, jak wiadomo, zwykle u nas przedłużają przebieg dzieła. Kłócono się o miejsce, poświęcono temu jednemu szczegółowi najniepotrzebniej mnóstwo posiedzeń, a nawet obrażono miłość własną miasta, które ofiarowywało miejsce na budynek, lecz tę ofiarę na razie przyjęto... kaprysem. Chciano czegoś lepszego. Następnie druga kwestya pochłonęła dużo czasu i wywołała mnóstwo sporów: Czy budynek własny, czy najęty? W czasie tego ścierania się zdań radziliśmy, ażeby panowie założyciele przytułku zaniechali myśli urządzenia go w mieście ze względu na wzrost kosztów i warunki hygieniczne. Nasza rada nie trafiła im do przekonania. Suma zebrana drogą ofiar dosięgła zaledwie 33,000 rs; z tego wydano więcej niż połowę na kupno gruntu. 18,950 rs. (przestrzeń z ogrodem obejmuje 27,000 łokci). Cena nie jest wygórowana, w stosunku do okolicy. Na krańcach miasta i to tam, gdzie ono może się rozwijać nieustannie, ceny muszą być prawie miejskie.

Gdyby wszakże twórcy zakładu rozejrzeli się trochę dalej, gdyby zechcieli zwiedzić okolice Warszawy przynajmniej w promieniu wiorst 50-ciu, możeby znaleźli grunt o połowę, a nawet o trzy czwarte tańszy. Nadto dałoby się porobić znaczne oszczędności w innych pozycyach, jak możność tańszego nabycia pewnej części materyału budowlanego; wreszcie—co najważniejsza — pensyonarze mieliby o wiele tańsze artykuły żywności i dużo zyskaliby na zdrowiu. Stanowczo jesteśmy przeciwnikami urządzenia przytułków dla skołatanych wiekiem i pracą w mieście. Nie jest ono dla nich potrzebne, przeciwnie, nawet krępuje i daje sporą sumę niewygód; gdy na wsi budynek może stanąć śród lasu i ciszy, przy tem łatwiej można byłoby kupić tyle gruntu, ażeby go wystarczyło nietylko na budowę i ogródek, lecz i na uprawę warzyw, hodowlę drzewek owocowych, wreszcie zabudowania gospodarskie, jak: obory, chlewy itd. Przy dzisiejszej skłonności właścicieli ziemskich do parcelacyi majątków nie trudno byłoby o nabycie odpowiedniej przestrzeni gruntu dalej od miasta, lecz bliżej kolei żelaznej. Inwalidzi nie są do tego stopnia zniedołężniali, żeby nie byli zdolni do lekkich robót na świeżem powietrzu w ogrodzie. Dla ich zdrowia duchowego i fizycznego jest to warunek niezbędny, gdy tymczasem w mieście lub na jego krańcach nie można tego zapewnić. Pensyonarze muszą być skazani na bezczynność lub jakieś zajęcie nużące swą jednostajnością w izbie, czy pod ścianą budynku. Przy takim przytułku, wzniesionym na wsi, można byłoby z czasem rozwinąć własną gospodarkę, zapewniającą tanie produkty żywności. Jeżeli zaś chodziło o krewnych, mieszkających w mieście, którzyby pragnęli odwiedzać inwalidów, to przecież przy dzisiejszych

---

usiadł przy jednym z nich i zaraz prawie zjawiła się dziewczynka zgrzana tańcem. Co za milutką minkę miała! Wszystko w niej ujmowało, nawet giest, z jakim wachlowała się i sukienka skromna, a tak dobrze leżąca i do twarzy dobrana.

Ona pozdrowiła go przyjaźnie, choć jeszcze obojętnie i popatrzyła nań; bez żadnego przymusu, zupełnie swobodnie, jak gdyby przyglądając się, czy odpowiadaliby sobie.

Odpowiadali sobie zupełnie, bo nie rozstali się ani tego wieczora, ani tej nocy, ani w dnie następne, z wyjątkiem kilku godzin, które musiał sprawom poświęcić.

Nigdy złego słowa, nigdy kaprysu. Zadowoloną była z wszystkiego, co on jej ofiarował; czy powiódł ją tu, czy tam, wszystko jedno. Właśnie cenił w niej ten charakter, cenił on najbardziej tę dobroć niezmienną: która nie znała siebie samej, nie domyślała się, jak ogromnej jest wartości i wydawała się nieograniczoną. Tem droższą była dlań, że poraz pierwszy w życiu objawiona.

Nigdy prośby interesownej, nigdy słówka grzeszącego nietaktem. Co jej dawał, brała jako zupełnie nienaturalne, ale przyjmowała z tą samą cichą radością złotą bransoletkę i różę kupioną na rogu ulicy; klejnot i kwiat miały oczywiście w jej oczach też samą wartość. Posiadała zbyt wiele dobrego smaku, aby okazywać wdzięczność. A chociaż nie zdawała sobie zupełnie dokładnie sprawy, jednak zgadywała cenę tego, co dawała mu w zamian za podarki.

Mógł ją prowadzić wszędzie. Miała ten takt, tak rzadki jednak, prostoty. Nie była wielką damą, która w restauracyi wydaje rozkazy, wachlując się z rozmachem. Ale wcale nie czuła się zakłopotaną, gdy on ją wprowadził do jakiejś okazałej sali, gdzie nieprzyzwyczajonych olśniewał blask urządzenia.

I przytem zupełnie nieglupia. Nie uczyła się niczego, ale jej mózg począł wcześnie pracować w czasie tej młodości tak smutnej, że szczegóły jej opowiadała mu tylko niejasno i po wielu prośbach.

Biedactwo małe! Często żal mu jej było i uczucie jego wtedy zdwajało się. Ale nie, ona nie była nieszczęśliwą, on mylił się. Gdy ją zostawił samej sobie, natura jej zachowywała równowagę zdrową i pewną, bez niczyjej pomocy.

Jak on sobie ją przypominał i jak kochał coraz bardziej, za każdym nowym rysem, zmartwychwstającym przed nim.

Szedł prędzej. Las rozrzedzał się na przeciwnym brzegu i wielkie łąki wynurzyły się, podczas gdy droga, którą on podążał, wciąż jeszcze była ocienioną drzewami.

Jak to się stało pewnego dnia, że przyrzekli sobie spotkać się za miastem, i ona stanęła na miejscu o wiele wcześniej, gdy tymczasem on opóźnił się z powodu spraw. Nie wiedział już tego.

Nigdy obraz jej nie zarysował się tak wyraźnie, jak tam, w tem miejscu, gdzie dusza jego widziała ją znowu z tak gorzką radością.

On śpieszył wzdłuż płotu tego oto ogrodu, zziajany i czerwony ze wzruszenia, topiąc oczy w dali, a ona spoglądała przelotnie na ogródek, ze źrenicami niespokojnemi wskutek długiego czekania, ze szklanką piwa pełną jeszcze przed sobą, z kapelusikiem słomianym w skrzyżowanych na kolanach rękach i uśmiechnięta, troszeczkę! Ale w tym uśmiechu tyle było uszczęśliwienia, że on przybywa.

Nie powiedziała nic, wogóle mówił niewiele mały ten milczek. Ale jak milutko umiała objawić swą radość! Przytknęła twarz do jego ramienia, podobnie jak robią pieski, bawiące się ze zwieszoną ręką pana.

I tego popołudnia i wieczorem i nocą byli oboje tak zupełnie szczęśliwi ze sobą.

ułatwieniach komunikacyjnych odległość nie stałaby na przeszkodzie. Ponieważ koleje żelazne są także instytucyami, dającemi zarobek rzemieślnikom i robotnikom — a zatem wytwarzającemi ludzi zniedołężniałych, więc chyba nie odmówiłyby bezpłatnego przewozu krewnych, odwiedzających pensyonarzy przytułku.

Organizatorowie zakładu popełnili w wyborze miejsca wielki błąd, który przynajmniej powinien być na przyszłość wskazówką dla innych przedsięwzięć tego rodzaju. Zakład obliczony na 112 inwalidów, zaspokoi zaledwie drobinę potrzeb w tej mierze, wobec licznej armii pracowników rzemieślnicznych i fabrycznych, których znaczny procent co rok odpada skutkiem wyczerpania sił. Miejmy więc nadzieję, że z czasem powstanie więcej takich przytułków i że wtedy nasze uwagi będą uwzględnione. Dodajmy, że przytułek dla inwalidów kolejowych, jedyny w Królestwie, urządzony na wsi, zadość czyni warunkom zdrowotnym i materyalnym dlatego właśnie, że pogardził miastem.

D.

PAMIĘTNIK.

Fizyologia wyścigów.

Pan J. Ochorowicz, który po za swem niegodnem uczonego czarnoksięstwem jest obok S. Kramsztyka najzdolniejszym u nas popularyzatorem wiedzy i gdy nie opuszcza jej gruntu, przemawia z wielką siłą argumentacyi, zajął się w *Kuryerze warsz.* krytyką obecnej hodowli koni na użytek igrzysk publicznych. Z gruntowną znajomością rzeczy, logiką i talentem pisarskim wykazuje on, że hodowla ta ustawicznem skracaniem dystansów, przedwczesnem puszczaniem koni do morderczych gonitw, przyspieszaniem tempa, zmniejszaniem wagi jeźdźców itd. dąży tylko do nadmiernego wyzyskania swych żywych produktów za pomocą zdobytych nagród i na ogólną poprawę wartości tych pożytecznych zwierząt nie wywiera żadnego wpływu. Zwykle koń schodzący z toru jest już kaleką i niedołęgą, nie może więc płodzić i rodzić dobrego potomstwa. W prawdzie powiedziano to samo naszym „sportsmanom" setki razy, ale dopiero p. Ochorowicz poparł rozumne słowa wymownymi dowodami. Czy przebije on nimi uszy, które dotychczas pozostały głuchemi na wszelką krytykę? Wątpimy. Zwłaszcza odkąd totalizator rozrósł się w olbrzymi dom gry, w którym „przerabiają się" miliony rubli, odkąd niebywały hazard ogarnął wszystkie sfery społeczeństwa i oddziaływa na organizacyę wyścigów, tresura konia postępować będzie dalej w tym samym kierunku.

Testament Kaczkowskiego.

Gazety ogłosiły ostatnią wolę zmarłego powieściopisarza. Dziś już nie ulega wątpliwości, że „uniwersalną spadkobierczynią" całego majątku uczynił on swoją żonę, „panią de Pomian," tylko Towarzystwu historycznemu we Lwowie darował prawa wydawania swych dzieł oraz bibliotekę. Nie możemy bez żadnej podstawy sądzić charakteru wdowy, dla której mąż miał widocznie wiele szacunku i miłości, skoro nawet w dodatku do testamentu zaznacza, że bibliotekę przekazuje Towarzystwu „za łaskawem zezwoleniem żony," która zastrzegła sobie tylko jako pamiątkę książki francuskie. Kaczkowski prawdopodobnie czuł do ostatniej chwili dla „pani de Pomian" głęboką wdzięczność za spędzone z nim życie i chciał za jej usługi oddać wszystkie środki materyalne, jakie posiadał. Ale chociaż trudno gwałcić ludzką wolę z miłości płynącą, trudno również nie dostrzedz w obecnym wypadku zupełnego zapomnienia o obowiązkach społecznych. Kaczkowski wiedział, że jego żona jest Francuską, że pozostawionego majątku nie zużyje, że go w całości lub znacznej części odda po śmierci swym krewnym, a jednakże nie zobowiązał jej ani jednem słowem do najmniejszej ofiary na korzyść społeczeństwa, któremu zawdzięczał nietylko sławę, ale poniekąd i zamożność. Przecież procenty od paru milionów franków wystarczyłyby zupełnie żonie, a kapitał powinienby po jej śmierci przejść do tych, z którymi nieboszczyka łączyły ściślejsze węzły, niż ze spadkobiercami bezdzietnej pani de Pomian. Niestety, Kaczkowski nie miał w swej duszy tej silnie napiętej struny, którąby mu przed zgonem zadźwięczała życzliwością dla rodaków. Z ogłoszonej świeżo jego korespondencyi wybija się bardzo mocno nadmierna pycha, samolubstwo i niechęć do tego otoczenia, w którem wyrósł i zyskał sławę. Zbyt wiele pamiętał o sobie i dlatego umierając, pamiętał tylko o tej, która była osłodą jego życia.

Dwie mogiły.

Na cmentarzu literatury otworzyły się dwa groby — przedwcześnie. Umarł Feliks Ehrenfeucht, niegdyś współpracownik t. zw. „młodej prasy," autor szeregu rozpraw literackich, powieści, komedyj i odczytów publicznych. Nie należał on do umysłów wysokiej miary, nie posiadał żadnej określonej zdolności, jego artykuły, broszury i utwory nie były pracami gruntownej wiedzy i mocnego talentu, ale raczej improwizacyami, splecionemi ze spostrzeżeń powierzchownych. Wszakże, zwłaszcza w pierwszym okresie swej działalności, odznaczał on się niepodległością umysłu i odwagą w dotykaniu spraw i zjawisk drażliwej natury, które miały doniosły wpływ na życie społeczne, a pokrywane były milczeniem. (Tak np. dużo wrzawy w swoim czasie narobił jego artykuł p. t. „Prostytucya domowa, zamieszczony w *Przeglądzie tygodn.*). Ani uczonym, ani poetą nie był i być nie mógł, ale jako publicysta doszedłby do większego znaczenia, gdyby był poświęcił swe siły wyłącznie temu zawodowi. Umarł, nie doszedłszy lat 50.

Znacznie wcześniej, bo zaledwie w 26 roku życia zmarła Marya Napieralska, pisująca pod pseudonymem Simary. *Prawda* pierwsza zwróciła uwagę na jej talent i uznaniem swojem pobudziła autorkę kilku drobnych powiastek do dalszej twórczości. Na nieszczęście, Simara nie posiadała odpowiedniego wykształcenia, a warunki nie pozwalały jej tego braku zapełnić. To też wziąwszy z życia to, co znalazła na jego wierzchu, mianowicie nić namiętności, wiążącą mężczyznę z kobietą w rozmaitych stosunkach, ciągle ją rozplątywała i wykazywała jej rozliczne zadziergnięcia. Skutkiem tego pomysły jej były jednorodne, a talent jak gdyby jednokomórkowy. Nie miała innych motywów, nie zebrała różnego materyału spostrzeżeń, lecz ciągle więziła swą wyobraźnię w kwestyi zatargów zmysłowych. Czuła sama tę ciasnotę, chciała i usiłowała się z niej wydobyć, ale ostatecznie wszystko, co wygrała, pochodziło z jednostronnej liry. A jednakże był to talent niewątpliwy. Niewielu powieściopisarzów ma u nas tyle ognia w piórze, tyle barwności w obrazowaniu, tyle żaru w wylewie uczuć. Gdyby umysł zmarłej rozszerzył się i pogłębił nauką, wzbogacił obserwacyą, zdobyłaby ona sobie zaszczytne miejsce w literaturze, w której stała się

Ona musiała nań czekać! Przebył resztę drogi, skierował się ku mostowi, tam po prawej ręce wznosiła się jeszcze altana, gdzie ona wtedy siedziała. Zadrżał, potem tak przyśpieszył kroku, że aż potknął się kilka razy. Wiedział teraz jasno, co go przywiodło. Ów żal bolesny za rzeczą straconą, a istotą dawno już nieżyjącą i pogrzebaną był jak ostatni zrozpaczony wysiłek rozbitka usiłującego wylądować, ptaka ze złamanem skrzydłem, próbującego dotrzeć do gniazda, jak ostatnie uderzenie serca.

I w miarę, jak to coraz jaśniej pojmował, zasłona dziwnego złudzenia, w którem żył od dwudziestu godzin, zaczęła osuwać się. Nim jeszcze rzeczywistość rozdarła ją ostatecznie, spadła tak nagle, że starzec uczuł prawie fizyczny ból. Czy był szalonym? Co działo się z nim?

O! nic... Zrobił tylko wycieczkę w tym kierunku, aby odświeżyć przywiędłe wspomnienia i te tak na niego oddziałały.

Roześmiał się nerwowo. Stary waryacie! Czy to nie głupie wszystko, co robisz?

Jednak czuł się bardzo zmęczonym. Każdy krok wyczerpywał go. Szedł dalej, nic go już nie ciągnęło i chętnie byłby wrócił, ale już domy pokazały się między drzewami. Znalazł się znowu na gościńcu. Wiedział, że teraz siedzieli w altance parobcy przy swojej wódce, albo, że kelner wałęsał się między próżnemi ławkami, bo słońce było jeszcze nizko i omnibusy nikogo nie przywoziły w te strony. Był tak zgnębiony, że przybywając na most, obojętnie tylko spojrzał w koło siebie. Wszystko wyglądało gorzej, niż spodziewał się: altanka stała bez zieleni, naga, niegościnna, z ławkami, na których nikt nie usiadł od miesięcy.

Samotność pustyni ciężyła nad tem miejscem. A jeszcze smutniejszą była samotność jego serca.

Wsparty na lasce patrzał na przejezdne wozy, później ruszył dalej przez pola płaskie i nagie. Wzrok jego bez żadnej myśli błądził po przestrzeni. Gdy doszedł do miasta, wziął dorożkę i kazał zawieźć się do hotelu.

Jasność dnia raziła go, spuścił story — ulżyło mu trochę w półcieniu. Przed hotelem szwajcar rzucił się, aby mu otworzyć.

Kazał sobie podać obiad przy małym stole w ubocznym pokoiku. Na ulicach gwarno. Zamówił jedną potrawę i ledwie jej dotknął. Serce jego pragnęło czegoś słodkiego i jak ojciec dziecko postanowił uraczyć je czemś, co lubiało. Szampana Roedererowskiego — zawołał. Wino iskrzyło się, okrywało się pianą. Ale gdy je podniósł do ust, zobaczył nagle twarz milutką, z oczyma brunatnemi, pełnemi szczęścia, z oczyma jej takiemi, jak wtedy, gdy uśmiechała się do niego w pewnym starym szynczku.. do kroćset! — przypominał sobie w oberży Ackerleina. Z goryczą i żalem postawił szklankę na stole.

Przyjemność chybiona... Znowu smutny, pytał: Co to, co to?

I blady, chwiejąc się, wstał odsuwając przerażonego kelnera, przeszedł salę, podążył do siebie. W kilka chwil potem zadzwonił, po godzinie wyjechał do Berlina.

W drodze drzemał nieco.

Wieczorem poszedł do kuzyna. Nikt go nie pytał, co działo się z nim wczoraj. Ale wszyscy zauważyli, że postarzał się. Rozmawiano o tem ze sobą. Zapewne brakowało mu czynnego życia.

Mylili się. Wspomnienie naraz zbudzone i nieustępujące weszło weń i wypełniło mu resztę życia.

Tłóm. z niem. *W. Bugiel.*

tylko nierozwiniętym i przedwcześnie uschłym kwiatkiem.

Droga książka.

Jeden z czytelników naszych porusza ważną kwestyę w następującym liście:

Panie Redaktorze! Wczoraj otrzymałem książkę p. t. „Z papierów po nieboszczyku Czwartym“ Klemensa Junoszy; nakład i własność W. Czajewskiego. Cena rs. 1. Książka ma 164 stronice druku, na stronicy 26 wierszy, w wierszu 26 liter (średnio), tj. w całej książce 110,864 litery. Gdyby numer *Prawdy* był cały zadrukowany swym zwyczajnym drukiem, miałby 12 stronic po 3 szpalty, po 91 wierszy w szp. i po 33 litery w wierszu, tj. zawierałby 108,108 liter. Więc cała książka, o której mówię, mogłaby bez mała być wydrukowaną w jednym numerze *Prawdy*. I za taką książkę bierze się rubla! Sądzę, że nie ma kraju, w którymby za książki kazano sobie więcej płacić. Wobec takich cen trudno się dziwić, że literatura cudzoziemska może mieć u nas większe powodzenie, niż swoja.

Stały prenumerator.

Być może, iż w tym wypadku cena książki jest nieco za wysoka, nie należy wszakże jej mierzyć samą ilością liter. Pierwszem i najważniejszem pytaniem, jakie wydawca rozwiązać musi w swym rachunku, jest to: na jak wielką sprzedaż może on liczyć. Od tego zależy ustosunkowanie ceny. Trylogię Sienkiewicza, zawierającą 1985 stronic po 49 wierszy (66 liter), pomimo wysokiego honoraryum dla autora (jak słyszeliśmy, 15,000 rs.), oddano za 2 rs., gdyż nakładca tłoczył podobno 15,000 egzemplarzy z przekonaniem, że one się rozejdą. Przypuśćmy, że dzieło innego autora znajdzie zaledwie 500 lub 1,000 nabywców, czy wydawca może je sprzedawać tak tanio? Nie zgadzamy się z autorem korespondencyi, ażeby u nas książki wogóle były drogie w porównaniu z innymi narodami, gdyż przeciwnie prawie wszędzie są droższe. Tak np. niemiecki przekład *Głównych prądów* Brandesa kosztuje 12 rs., nasz — 3. Ceny angielskie są wprost bajeczne i wytłomaczyć się dadzą tylko wielkiem bogactwem społeczeństwa. A przecież tam nabywcy nie zgłaszają się w setkach, ale w tysiącach. To wszakże jest faktem, że u nas książki wzrastają w cenie, gdyż czytelnictwo zmniejsza się w rozmiarze. Dziś tanie wydawnictwa można podejmować jedynie w wypadkach bardzo wyjątkowych.

Ubezpieczenie obowiązkowe.

W ministeryum spraw wewnętrznych poruszono kwestyę obowiązkowego ubezpieczania bydła od zarazy — na zasadach wzajemności. Dokładnych szczegółów projektu nie znamy. Sama atoli myśl urządzenia takiej asekuracyi jest niezmiernie ważną, jej bowiem wprowadzenie w życie może wywrzeć znaczny wpływ na warunki ekonomiczne ludności wiejskiej. Zaraza bydła w sumie jest straszniejszą, niż wszelka inna klęska, bo nieraz włościanom zabiera cały inwentarz, bez którego gospodarka musi być nieczynną. Obowiązkowe ubezpieczenia wzajemne mogą wpłynąć na wzmocnienie dozoru weterynaryjnego, który dziś, szczególnie na dalekiej, zapadłej prowincyi, prawie nie istnieje. Skutkiem tego ludność włościańska nietylko jest zupełnie pozbawiona pomocy, ale jeszcze sama przez swą ciemnotę naraża własne zdrowie. Chłopi w niektórych miejscowościach tak dalece nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa zarazy, że dobiwszy chore sztuki bydła, spożywają je najspokojniej. A cóż mówić o niezachowywaniu ostrożności w razie, gdy to bydło lub nierogacizna padał Lud nietylko nie śpieszy z zakopaniem i dezinfekcyą, ale nawet zdziera skóry i sprzedaje. To jest właśnie główne źródło zarazy; to są czynniki sprzyjające jej rozrostowi i sile trudnej do pokonania. Otóż jeżeli wejdzie w życie obowiązkowe ubezpieczenie, nie będzie ono zapewne polegać jedynie na wypłacaniu strat poniesionych przez stowarzyszonego skutkiem zarazy, lecz nadto w interesie zsolidaryzowanych musi być postawiony pierwszorzędny warunek: wzmocnienie pomocy weterynaryjnej. Tam bowiem, gdzieby jej nie było lub gdzie ona nie dawałaby najmniejszej rękojmi skuteczności, asekuracya taka właściwie nie zabezpieczałaby wcale od strat; przeciwnie, przyczyniłaby się do ich wzrostu, tj. stowarzyszony dostałby w sumie: zarazę plus koszt ubezpieczenia, przytem premie asekuracyjne musiałyby być znacznie wyższe tam, gdzie jest słaba rękojmia bezpieczeństwa.

Do warunków wzmocnienia należałoby zaliczyć oprócz działalności weterynarzy-urzędników, szerzenie śród włościan znajomości racyonalnego leczenia zwierząt domowych. Przed paru laty właśnie w sferach ministeryalnych była poruszona sprawa nauki elementarnych zasad weterynaryi śród ludu, a nawet czytaliśmy szczegółowy program wykładów teoretycznych i praktycznych w zakresie odpowiadającym najpilniejszym potrzebom każdej wioski. Może obecnie ta sprawa wyjdzie z zapomnienia na porządek dzienny.

BADANIA NAUKOWE.

WIEK NERWOWY.*)

Dr. A. Wizel wybrał przedmiot bardzo wdzięczny. Jego książka daje więcej, aniżeli nagłówek przyrzeka. Autor usiłuje dowieść, że nerwowość jest rysem, właściwym nietylko naszej epoce dziejowej. Towarzyszyła ona także uprzednim okresom historyi, choć odznaczała się wtedy nieco odmienną fizyognomią. Idzie on jeszcze dalej, bo oświadczając, że nerwica istniała zawsze, stara się nadto przekonać czytelnika, iż przydomek „nerwowy,“ jaki przyczepili do naszego wieku Krafft-Ebbing i inni, dostał mu się niezasłużenie. Nadaliśmy mu ten tytuł tylko skutkiem naszego nadmiernego subjektywizmu.

Nauka lekarska, która dokonała takich postępów w obecnem stuleciu, przyczyniła się bardzo do wzrostu nerwowości—w tem znaczeniu, że wykazała zboczenia tego rodzaju tam, gdzie się ich dawniej nie spodziewano. Tłumne ukazanie się chorych tej kategoryi bynajmniej nie jest wyrazem rzeczywistego wzmożenia się niemocy, ale wynika przedewszystkiem ze zmienionego punktu zapatrywania się na istotę obłędu. Badania szczegółowsze dowiodły, że niema prawie organu, któryby nie mógł podlegać rozstrojowi nerwowemu. Serce, płuca, skóra, nawet zjawiska tak ogólne, jak przemiana materyi, przedstawiają zakłócenia, pochodzące z tego źródła. Liczba osób nerwowych pozostała może ta sama, wzrost zaś jest tylko pozorny i wypływa z odmiennej klasyfikacyi. Jeżeli wyobrazimy sobie ogół chorych jako armię, składającą się z rozmaitych oddziałów, to zmiana, którą spostrzegamy, nastała nie z powodu bezwzględnego powiększenia się osobników nerwowych, lecz skutkiem przejścia szeregowców z różnych chorągwi pod sztandary tego jednego pułku.

Wychodząc z tego założenia, dr. Wizel stara się wykazać, iż nerwowość istnieje od niepamiętnych czasów i stanowi nieodłączną towarzyszkę każdej, chociażby słabo rozwiniętej kultury; że nie mylą się ci, którzy sądzą, iż niższy stopień cywilizacyi pociąga za sobą słabsze napięcie niemocy; że w każdej epoce życia społecznego istnieją takie warunki bytu umysłowego, które przyczyniają się do rozwoju nerwowości. Słowem, na epokę dzisiejszą nie trzeba zapatrywać się jako na wyjątkowo szkodliwą dla nerwów ludzkich.

Chodzi więc o udowodnienie tezy, że wieki przeszłe odznaczały się dość silnem napięciem chorób nerwowych.

Autor opisuje opętanych średniowiecznych, tańce św. Wita, demonomanie w klasztorach, epidemie wiedźmostwa. W większości przypadków uważa je za objawy histeryi. Lekarze zgodnie utrzymują, że nerwica histeryczna jest obecnie cierpieniem bardzo częstem. „Jakkolwiek i my zgadzamy się na to — pisze dr. Wizel—mimo to jednak ośmielamy się twierdzić, że właściwym okresem panowania wśród ludzkości newrozy histerycznej nie są bynajmniej czasy dzisiejsze, lecz były nim wieki ubiegłe, wieki ciemnoty i zabobonnych wierzeń. W owych to czasach byt narodów europejskich przedstawiał jak najwdzięczniejsze pole dla rozwoju histeryi. To też należała ona wtedy do najstalszych i najpoważniejszych objawów życia, stanowiła źródło najdonioślejszych faktów dziejowych. Śmiało utrzymujemy, że bez znajomości histeryi— historya jest w wielu razach dla nas niezrozumiałą.“ Dzisiaj, pomimo całej popularności, zdarza się ona, bądź co bądź, sporadycznie i nie ma zbyt wielkiego znaczenia w życiu społeczeństw. Inaczej było dawniej, gdy nerwica ta srożyła się epidemicznie, zarażając jednocześnie setki i tysiące osób, i wywierała wpływ na wypadki dziejowe. Nie dość tego. Zdaniem dr. A. Wizla jest ona dzisiaj nietylko rzadsza, niż niegdyś, ale nadto odznacza się postacią łagodniejszą. Mamy obecnie najczęściej do czynienia z histeryą osłabioną, tymczasem gdy w wiekach średnich na porządku dziennym była groźniejsza jej odmiana, „histerya wielka,“ która występowała pod postacią zboczeń, o jakich dzisiaj nie mamy pojęcia. Rozwój histeryi i neurastenii odbywa się w kierunkach całkiem przeciwnych. Pierwsza, w miarę postępu cywilizacyjnego, słabnie, druga zaś rozszerza się; jedna — to nerwica teraźniejszości, druga zaś — przeszłości.

Psychiatra francuski, Cullere, powiada: „Nerwice dawnych czasów, jakkolwiek były dość częste, stanowiły wszakże zjawisko niepowszednie. Były one straszne, lecz ograniczały się pojedynczymi przypadkami. Kilka osób chorowało, lecz reszta cieszyła się zdrowiem. Inaczej dzieje się dzisiaj. Obecne nerwice są łagodniejsze, lecz częstsze; co straciły na sile, to zyskały na rozpowszechnieniu!“

Nie takie jest zdanie autora polskiego. „Czy jednak to twierdzenie jest słuszne? Czy to prawda, że w dawnych czasach cierpienia nerwowe i umysłowe ograniczały się jedynie do rzadkich, pojedynczych przypadków? Co do nas, jesteśmy najmocniej przekonani, że twierdząc w ten sposób, popełniamy ciężki, trudny do wybaczenia błąd!“

Wyżej przedstawiliśmy zasadniczy wątek wywodów dr. H. Wizla. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ma on najzupełniejszą słuszność, gdy twierdzi, że nietylko nasze stulecie dźwiga na sobie brzemię nerwowości i zwyrodnienia. Osoby „nerwowe“ istnieją bowiem nawet na najniższych szczeblach kultury, gdzie człowiek nie prowadzi jeszcze osiadłego trybu życia, jak to wykazuje praca d-ra Stolla nad hypnotyzmem u ludów pierwotnych. Zawsze i wszędzie kult posługiwał się nerwicą dla swoich celów: szamani i inne podobne kategorye ludzi dochodzą niekiedy do zupełnego rozstroju, który nadto nie pojawił się dopiero skutkiem dokonywania praktyk kunsztu czarodziejskiego, ale jest przyniesiony na świat przez daną osobę. Uwzględniwszy tego rodzaju poszukiwania, dr. A. Wizel mógłby znacznie rozszerzyć zakres swojej pracy

---

*) Dr. A Wizel: *Wiek nerwowy w świetle krytyki.* Warszawa.

i nawet wykazać, że w pewnych okresach rozwoju społecznego histerya, względnie nerwica, były źródłem powstania pewnych zawodów i urządzeń.

Nie myślimy także zaprzeczać jego ocenie naszego subjektywizmu, który doprowadza nas do wygórowanego wyobrażenia o naszych cierpieniach i niedoli, ani też wywodom, że rozmiary wzrostu nerwowości są poniekąd pozorne, bo wynikają z lepszego odróżniania chorób i z głębszego poznania ukrytych odmian rozstroju. Atoli jesteśmy najmocniej przekonani, że dr. A. Wizel, porównywając ubiegłe wieki z czasami teraźniejszymi, przesadził zanadto w nałożeniu barw ciemnych na przeszłość, jasnych zaś na dobę dzisiejszą. Zresztą nie on jeden dał się porwać wrażeniu, jakie opanowywa badacza, gdy poddaje rozbiorowi nawiedzenia gromadne wieków średnich. Mówiąc np. o dziełach artystycznych, do których nerwice dostarczyły przedmiotu, zaznacza on: „Dowodzą one, tj. te pomniki sztuki, jednocześnie, że nerwice musiały być częstem w minionych wiekach zjawiskiem, skoro tak często fantazya czerpała w nich natchnienie do swych kompozycyj.“ Bynajmniej! To tylko dowód, że były one, jak autor nieco dalej oświadcza, jednem z wydarzeń przedniejszych, tj. takich, które zwracały na siebie uwagę powszechną skutkiem przypisywania im często charakteru nadprzyrodzonego. My, którzy na niemoce i wybryki duchowości spoglądamy okiem krytycznem i leczymy je w sposób racyonalny, przechodzimy obojętnie obok podobnych chorób. Tymczasem skoro w wiekach średnich pojedyńczy wypadek zdarzył się w okolicy, bywał niekiedy zdarzeniem dnia i gorączkował tłumy. Dotknięty wielką histeryą, przez całe swoje otoczenie, był wpędzany w coraz większy rozstrój, środki zapobiegawcze zaś, jakie stosowano, jedynie niszczyły te nieznaczne resztki równowagi nerwowej, które chory jeszcze posiadał. Charakter napięty i mocny średniowiecznych ataków histerycznych tkwi może w takiem traktowaniu niemocy przez współczesnych. Wydaje mi się przynajmniej rzeczą niewątpliwą, że zdołalibyśmy nawet dzisiaj wykierować niejedną histeryczkę na kompletną opętaną, gdybyśmy zamiast racyonalnego postępowania z nią podsuwali jej ideę nawiedzenia i dopiero na takim gruncie walczyli z dziełem własnej suggestyi. Upadek „wielkiej histeryi“ pochodziłby może nie z osłabienia choroby, ale ze zmiany otoczenia dziejowego! Artysta średniowieczny, uderzony objawami opętania, utrwalał jego przebieg na płótnie; naoczni świadkowie, przypatrujący się demonomanii mniszek, pozostawiali opis drobiazgowy. Odstępy czasu pomiędzy pomiędzy pojedyńczymi aktami tego wzniosłego dramatu nawiedzeń i pląsów gromadnych, rozpatrywane z odległości kilku wieków, zmalały. Wyobraźnia badacza robi z niemi to samo, co perspektywa z drzewami wzdłuż gościńca — wiąże je w pasmo nieprzerwane i daje wrażenie pozornej częstości i ciągłości. Właśnie takiemu złudzeniu uległ, naszem zdaniem, dr. A. Wizel.

I tło nerwicy obecnej jest zgoła inne, niż średniowiecznej.

W dobie bieżącej nerwica jest głównie zjawiskiem życia miejskiego, ogarniającem zarówno niziny społeczne, jako też wierzchołki, tymczasem gdy na wsi zdarza się stosunkowo rzadko. Jej źródłem jest nadmiar wrażeń — mniejsza o to, jakiej są one natury i skąd pochodzą. Gorączkowy zgiełk miejski z właściwymi mu nieracyonalnymi warunkami bytu, niepewność jutra i ciągła walka konkurencyjna, użycie narkotyków i niezdrowotne stosunki płciowe, zwłaszcza wśród kobiet, sprzyjają rozstrojowi nerwów, który ogarnia wielkie koła, przechodzi dziedzicznie na nowe pokolenia i trapi je już w kołysce. Nerwowość stała się zjawiskiem powszedniem, niszczącem żywioły miejskie.

Inaczej działo się podczas wieków średnich.

Tam podłożem nerwowości był raczej niedomiar wrażeń. Dr. A. Wizel wymienia wojny i inne tego rodzaju przyczyny. Co do nas, nie sądzimy, ażeby miały one tak wiele zaważyć: obłędy średniowieczne, przerażające nas swoją straszliwością, zdarzały się w okresach zupełnego spokoju, czasami tylko przypadały na czasy prześladowań religijnych, np. Husytów i Hugonotów, ale uczestnicy egzaltowani, którzy doszli do rozstroju skutkiem roznamiętnienia i fanatyzmu, ginęli w walce o swoje przekonania.

Z całą stanowczością twierdzimy, opierając się na faktach z Laponii lub ziemi Jakutów, że demonomanie średniowieczne wynikały przedewszystkiem z przytępienia umysłowości. Otoczenie społeczne, zbyt monotonne i szare, działało tak samo na duchowość człowieka, jak podczas doświadczeń hypnotycznych usypianie uwagi poddawaniem umysłowi jednostajnego wrażenia. Klasztory żeńskie i doliny górskie odznaczały się tym przymiotem w stopniu bardzo wygórowanym. Szarzyzna życia usypiała wolę; ciemnota, panująca w kraju, sprzyjała powzięciu najniedorzeczniejszych pomysłów, a gdy idea nawiedzenia zagnieździła się w umyśle osoby istotnie zdenerwowanej i znalazła ujście podczas spazmów ciała, przykład działał zaraźliwie na gromady, które w innych warunkach społecznych pozostałyby może obojętnymi widzami. Wielkie, tj. gromadne rozmiary histeryi średniowiecznej są bardzo zwodnicze. Dr. A. Wizel zapełnił kilka stronic wyliczaniem owych epidemij, spodziewając się, że wywrze na umysł czytelników tem silniejsze wrażenie na korzyść zasadniczej tezy, iż nerwowość niegdyś była bardzo częsta. Atoli przykłady te świadczą tylko o zaraźliwości histeryi tam, gdzie życie jest jednostajne i płytkie. Nie wątpię ani chwili, że gdyby wybuchy rozstroju nerwowego miały dzisiaj tę samą swobodę, co dawniej, oraz były traktowane według wzorów średniowiecznych, to nie setki, ale setki tysięcy osób wykrzywiałyby ciało jeszcze w gorszy sposób, niż za czasów inkwizycyi, bo gromada uczestników byłaby większa i działanie jaźni zbiorowej bardziej napięte. Mamy taki widok jeszcze w *revival*'ach sekciarzy amerykańskich.

Nie trzeba także zapominać, że epidemie średniowieczne odznaczały się charakterem poza-społecznym. Srożyły się one w klasztorach, tj. instytucyach, stojących po za światem doczesnym; w ustroniach górskich, leżących zdala od gwaru życia, wreszcie wśród osób przeznaczonych na zagładę, jak np. Hugonoci za Ludwika XIV. Były one oczkami, pływającemi na powierzchni życia, lecz niezlewającemi się z niem. Naturalnie zdarzały się epoki rozstroju powszechnego, np. pierwszy rok naszego tysiącolecia, gdy wszyscy oczekiwali końca świata. Ale takie okresy nie wiązały się nawzajem w pasmo ciągłe. Nerwica zaś dzisiejsza, srożąca się w miastach, wżera się w samo serce narodu, ogarnia to, co jest w niem najżywotniejszego, najruchliwszego i najzdolniejszego, przyczem przenoszona dziedzicznie działa w sposób ciągły i prawdopodobnie postępowy, bo dr. A. Wizel bynajmniej nie obalił twierdzenia, ażeby tempo nerwowości nie wzrastało, wykazał tylko, że są tam między innemi łudzące pozory.

I sposób dochodzenia do rozstroju odznacza się innymi rysami. Dr. A. Wizel uważa gdzieś procesye biczowników za wyładowanie się histeryi, popełniając błąd dość częsty zresztą — niedoceniania wielkiego wpływu na umysły idei religijnej. Tymczasem wojny krzyżowe i procesye biczowników dla swego powołania bynajmniej nie potrzebowały rozstroju, wiara tam już wystarczała. Że na podłożu tych obchodów i wypadków nerwica mogła bujnie się krzewić, rzecz to inna. Neurastenia za czasów średniowiecznych była wynikiem istnienia osobliwych idej w kraju. Dzisiejsza obezwładnia nas masowo w sposób milczący. Wyznajemy zasady pozytywne, nie umartwiamy ciała, nie biczujemy się ani nie stoi nad nami widmo głodu, ognia i moru, jesteśmy skończonymi filistrami czynu i myśli i niekiedy postępujemy bardzo oględnie, a jednak nie możemy uniknąć nerwicy! *Hic Rhodus, hic salta!*

Tak, nerwica jest zależna od miejsca i czasu i jak dotychczas, właściwa każdemu okresowi historycznemu. Atoli nigdy nie rozpanoszyła się tak, jak dzisiaj, mimo braku idej, rozstrajających ciało, i warunków, sprzyjających rozpowszechnianiu zarazy. Wiek nasz zasługuje na nazwę nerwowego nie tyle dla częstości nerwicy, ale ponieważ niemoc ta podgryza nasze siły żywotne wśród codziennego, szarego trybu życia.

L. K.

PIĘKNO W NATURZE

ze stanowiska hygieny duszy i ciała

(odczyt wypowiedziany w Zakopanem na korzyść Muzeum imienia Tytusa Chałubińskiego).

V.

Inne wrażenia opanowywają nas, gdy jesteśmy już w górach.

Pomijając bogactwo plastyki terenu, bujność i oryginalność roślinności, swobodne, rzeźwiące pląsy wiatrów, szumy kaskad, mgły zawisłe w przestrzeni, zmienność krajobrazów itd. itd., idąc w góry, doznajemy charakterystycznego zadowolenia z tryumfu nad przeszkodami, wznosząc się raźno po rozesłanych korzeniach drzew lub po głazach, ulegamy wzruszeniom badacza nauki, szukającego nowych prawd poza osłoną nowych tajemnic, ulegamy ciekawości napiętej: co też ujrzymy dostawszy się na szczyt najbliższy, jakie nowe dekoracye ukażą się oczom naszym? Osiągnąwszy najbliższy wierzchołek, zdejmuje nas gorączkowa chęć dostania się i na następny, wyższy itd.

Aż wreszcie gdy znajdziemy się po wielu trudach na najwyższym szczycie, nowe zachwyty i nowe wzruszenia ogarniają duszę naszą.

Przedewszystkiem duma z osiągnięcia celu, która sama przez się dodaje energii innerwacyi mięśni i prostuje członki nasze. Wnet jesteśmy oszołomieni uroczym widokiem dalekich, coraz bardziej ku widnokręgowi błękitniejących, pod stopami naszemi ścielących się obrazów. Jesteśmy tedy razem na ziemi i w niebie, dziwimy się, jak szczyty, które z dołu zaledwie nam się zdawały być osiągalnymi, leżą teraz u nóg naszych płasko, a te dalekie obszary z wstążeczkami rzek i tafelkami lustrzanemi jezior, z ciemnemi plamami borów i jasnemi pól, z szaremi plamkami wiosek i miast, z tem życiem, zamieszkujących je ludzi maluczkich, z ich dążeniami, walkami, cierpieniami i rozkoszami— jakie to wszystko wydaje się nam maluczkie, marniutkie.

Fizyczne wzniesienie ciała naszego po nad padół wpływa też na moralne podniesienie ducha naszego; osobiste cierpienia i zawody maleją, rany zadane nam przez złość ludzką, zawiść, zdradę goją się, ból łagodnieje. Zdaje nam się, że jesteśmy bliżsi owej wszechmocnej potęgi, która stworzyła ten wspaniały świat i na jej

podobieństwo uczuwamy więcej miłości, więcej pobłażania; ale będąc jej bliższymi czujemy się zarazem i bardzo wywyższeni i bardzo upokorzeni — a cała ta gra wielkich uczuć i wzruszeń działa niby kąpiel styksowa na ustrój nasz i czyni go nieraz na długo odporniejszym i dzielniejszym.

Słowem, czy to niebo błękitne południa z płynącemi po niem fantazyjnie zmiennemi chmurkami; czy to na arenę życia wchodzące szkarłatem wstydu oblane słońce, takie skromne dlatego, że tak wielkie; czy to po dniu życia krwawy zachód; czy to miesiąc blady, zadumany, odwieczny świadek przysiąg i zaklęć; czy to wryte w niebo, drżące myryady gwiazd złotych; czy to chmura czarna, sroga, miotająca węże błyskawic, rycząca gromem grozy pełnym; czy to wonna cisza słoneczna w powietrzu, błoga jak związek miłości z wiarą; czy to wicher rozhukany, jęczący jak rozpacz nieutulona; czy to dżdżu nawalnica, która ziemię krzepi i napawa odwieczne krynice; czy to miliardy płatków, gwiazdek kryształowych, śnieżnych, białych, co to ociągają się z upadkiem, nieskalaną białość swoją kochają, wahają się, wracają i krążą, a jednak zejść muszą na szarą ziemię; czy to niby przez falangi wojowników, dziko w biedną ziemię miotane kule gradowe; czy to senne mgły poranne, czy dzikie pląsy śnieżycy; czy to wonne łąki ukwiecone, śmiejące się jak miłość szczęśliwa, czy ciemne, tajemnicze bory szemrzące niby przeszłości mgliste legendy; czy to błękitne, ciemnym borem wieńczone, wyniosłe czoła gór, które i myśl ludzką po nad poziom powszedniości podnoszą; czy śniegiem wiecznym bielejące, nagie, dziko poszarpane, spiętrzone skały, niby serca ludzkie, które wulkanem uczucia płonęły, rozdarły się i zlodowaciały na wieki; czy to srebrna, szeroka wstęga, majestatycznie toczącej się rzeki, niby symbol błogosławieństwa i pokoju; czy szumne, szalone kaskady potoków górskich, rzucających się bez pamięci w przepaść, jak młodość niebaczna w wir namiętności; czy to wreszcie sennie kołysząca się fala szmaragdowej tafli jeziora, nęcąca rozkoszą, pieszczotą; czy szalejący odmęt rozhukanych, spienionych wałów, niby głodnych życia ludzkiego furyj.

Jakie to wszystko piękno, urocze, majestatycznej grozy lub czarownego uśmiechu pełne!

A tem pięknem radować się dano człowiekowi, dzięki niedocieczonym planom wielkiej mistrzyni przyrody.

Człowiek to przedziwny aparat, przez którego zmysły cała natura od gwiazd złocistych do kwiatów barwnych, od przejawów życia do martwych kształtów opoki, skupia się, łączy, aby stworzyć podniosłe wzruszenie piękna. Wytwór świadomości uroku świata to nieustająca czynność tego aparatu — bez której rdzewieje, zanika, ale rozwija się i doskonali, gdy zadanie to swe spełnia.

A ten wspaniały świat jest takim dany wszystkim ludziom, ten cudny pełen coraz to innych dekoracyj teatr — nie! raczej świątynia ta piękna jest wszystkich ludzi wspólnem mieszkaniem. Kto kocha naturę, kto umie się nią zachwycać, kto ją rozumie, ten pojmuje, że chorałem ludzkości, który pod sklepienie świątyni tej wznosić się jest godzien, to jedynie: pieśń pokoju i bratniej miłości, tylko pokoju i miłości!..

A jak skały, dziś pod niebo wypiętrzone, spoczywały niegdyś w ciemnych czeluściach przepaści; jak dziś suche lądy były niegdyś dnem głębokich oceanów, martwe pokłady kredowe — same rojowiskiem życia — a zawsze ziemia jest tą samą ziemią; a jak listki odwiecznego dębu wczorajsze dawno już do szarej ziemi wróciły, a dzisiejsze krótko trwać też będą, ale dąb zostaje dalej dębem, tak samo pokolenia; one przechodzą, ludzkość trwa. Ciasno patrzy na świat ten, kto w nimwidzi tylko ośrodek własnego jego żywota. Miłość prawdziwa przyrody w jej ogromie, w jej dziejach i dążnościach, łagodzi nam świadomość znikomości naszej, owszem napawa dumą, że świadomie pracujemy dla przyszłości, że kochamy przyszłe pokolenia, że bezinteresownie pragniemy im lepsze zgotować jutro, przyczyniając się do postępu i rozwoju ideałów dobra, prawdy i piękna. Ależ i ta duma szlachetna jest wzruszeniem dodatniem, które własne nasze życie czynić może tylko milszem i trwalszem.

Jako biesiadnicy, syci godów weselnych, pełnych rozkoszy i szału, ochoczo zdążają do snu i spoczynku, tak i po tej krótkiej, ale zarazem dość długiej chwili świadomego udziału w rozkosznych wzruszeniach tego życia, nasycony mędrzec w spokoju wraca nie do nirwanny, nie do nicości, ale do tych wielkich warsztatów twórczych przyrody, do nieustających źródeł piękna i cierpienia, do najwyższego piękna: świadomej walki człowieka z cierpieniem, w której się najlepiej urzeczywistnia greckie καλος καί αγατος.

Powtarzamy, że *kultura* nie jest przeciwieństwem *natury*, ale jej dalszym rozwojem, dumą dla człowieka, że ten wyższy etap rozwoju przyrody jest czynnikiem własnej jego świadomości.

Natura uczyniła nas uczestnikami świadomymi piękności stworzenia, kultura objaśnia nas o wielkiej doniosłości tego piękna dla naszego rozwoju i trwania, uczy nas jak potęgować to uczestnictwo.

Korzystając przeto z łaskawej szczodrości przyrody i mądrości kultury — rozpowszechniajmy zamiłowanie piękna w naturze, potęgujmy je przez dom i szkołę w interesie uszlachetnienia społeczeństw, w interesie jego pomyślności duchowej i fizycznej.

Dr. Henryk Nussbaum.

LITERATURA I SZTUKA.

William Morris.

I.

Sztuka poniosła stratę bolesną w osobie Williama Morrisa. Swą wszechstronnością przypominał on tytanów genialnych Renaissance'u: był jednocześnie malarzem, poetą, fabrykantem mebli, rysownikiem, drukarzem i działaczem społecznym. Wszystko to wywołało dwoistość dziwną, prawie paradoksalną. Głosił jednocześnie nowe zasady pracy biedakom i stare zasady smaku bogaczom. Jako działacz społeczny spoglądał w przyszłość, jako artysta — w przeszłość. Urodził się r. 1834 w Walthamstow. Zdobywszy w Oxfordzie tytuł „batchelor of arts," założył pismo *The Oxford and Cambridge Magazin*, które po roku zwinął i oddał się malarstwu, architekturze i poezyi. Był jednym z inicyatorów nowego kierunku w sztuce, pre-rafaelizmu, który szukał natchnienia i wzorów u mistrzów średniowiecznych i w tym duchu wydał pierwszy tom swych poezyj „The Defence of Guenevere and other Poems" (1858). Jest tu umyślna staranność języka oryginalnego, zwrotów starożytnych i powikłanych, a przytem pierwszy utwór młodego autora, w którym czuć wpływ Rossettiego i Browninga. Stąd pewna dwoistość i niejasność. Temat rycerski, pełen szlachetnych uczuć, wspaniałej wyobraźni, która oddaje kolory epoki, ale jeszcze w zastosowaniu formy do przedmiotu. Morris nie doszedł do tego mistrzowstwa, które dopiero później u niego podziwiamy. W tymże tomie znajdujemy kilka drobnych poemacików, prawdziwych pereł. Są to ballady w formie monologów: „Shameful Death," „Old Love," „The Judgement of God" i mały dramat p. t. „Sir Peters Harpdon's End," nawiany wpływem Browninga.

Jeszcze w r. 1868—69 Morris był artystą czystym, mającym na celu wyłącznie piękno formy i obrazów poetyckich. Świadczy o tem „The Earthly Paradise" (4 v.), gdzie autor nie wykłada żadnych artykułów wiary, nie wypowiada żadnych przekonań: jest to zbiór dwudziestu czterech opowieści legendowych, niezależnych od siebie. Garstka śmiałych podróżników odbija od Norwegii i jedzie na zachód w poszukiwaniu raju ziemskiego. Po wielu burzach i przygodach napotykają ląd nieznany, a uprzejmie podejmowani przez mieszkańców, upodobali sobie ten kraj. Co dwa tygodnie główny kapłan miejscowy urządza ucztę i nasi podróżnicy snują przy kielichu złoty wątek legend i tradycyj starożytnych, które przywieźli z ojczyzny ku wielkiemu zadowoleniu słuchaczów. Taki jest plan dzieła: przypomina on w zupełności „The Canterbery Tales" Geffery Chaucera.

Istotnie, ten wielki poeta był przez całe życie mistrzem i wzorem dla Morrisa, który wskrzesza nietylko starożytne sposoby wierszowania, ale także ducha owych czasów, atmosferę XIV wieku. Nie jest to zresztą ani naśladownictwo, ani plagiat, czuć tylko pokrewieństwo duchowe, wpływ jednego umysłu na drugi po przez kilka stuleci. Taż sama wspaniałość opisów, gdy chodzi o masy i szeroką akcyę, taż sama delikatność szczegółów, gdy chodzi o jednostki, taż sama naiwność wiary, gdy chodzi o coś niepojętego dla umysłów nowożytnych. Tylko dla Chaucera nie było w tem nic dziwnego, gdyż z czasu i rozwoju bliższym był osób i wypadków, które opisywał; natomiast Morris musiał wysiłkiem fantazyi odtwarzać pokrewieństwo zatracone. Niema nic trudniejszego, jak dla człowieka naszych czasów zjednoczyć się z bohaterami legendowymi, wejść, że tak powiemy, w ich skórę, czuć i myśleć, jak oni. Morris dopiął tego celu z prawdziwem mistrzowstwem, używając sposobów następujących: przytacza fakty i szczegóły ze skrupulatnością, która usuwa wszelkie podejrzenie, iż opowiadający nie wierzy w swe baśni; następnie, będąc malarzem z temperamentu, starał się głównie oddać stronę malowniczą, koloryt każdej sceny. To było głównym przedmiotem jego ambicyi. Gdy spoglądamy na dobry obraz, przedstawiający temat mitologiczny, nie przychodzi nam nawet na myśl, iż artysta może nie wierzyć w swój przedmiot. Toż samo, gdy czytamy poezye Morrisa. Pod względem idei był więc oryginalny i poniekąd niezależny od Chaucera. Natomiast pod względem formy, rozmiarów, rytmów, we wszystkiem brał za wzór mistrza. Siedmiowierszowe stanze, cztero i pięciostopowe kuplety itd., wszystko to całkiem zapożyczone od Chaucera i teraz prawie zupełnie wyszło z użycia. Narzędzia te nie nadawałyby się dla wyrażenia uczuć współczesnych, ani też dla delikatnej analizy psychologicznej, lecz Morris głównie zajmuje się stroną zewnętrzną wypadków, sceneryą, barwą, potrąca gamę wzruszeń tylko elementarnych, a do tych tematów formy są zupełnie zastosowane. Język starożytny, wytworny, unikający wyrazów zbrukanych w codziennem użyciu, pełen energii i zarazem słodyczy. Takie są środki, których poeta używał dla odtworzenia podań starożytnych i średniowiecznych, prawie bez zmiany. Może tylko w klasycznej mitologii autor przesłania, co w niej jest nazbyt zmysłowo obnażonego, ale czy-

ni to w sposób tak delikatny, iż nie razi naszych reminiscencyj. Dodajmy wreszcie, że w wyborze tematów i opracowaniu widać jego osobowość, jego sposób myślenia i czucia: zpośród mitów i legend wybiera tylko to, co jest wdzięczne, ludzkie, śmiałe i — co najcharakterystyczniejsza — smutne, w patetycznej wierze, że życie jest krótkie, iż wszystko jest znikome i skazane na zapomnienie. Ta struna dźwięczeć będzie przez całą działalność poetycką Morrisa, cicho, ale wyraźnie. Tylko tu melancholia nie przybiera nigdy form nowożytnego zrozpaczenia, które byłoby fatalne przy oddaniu pogodnego piękna ideałów starożytnych: zdrowa i silna natura poety przezwycięża zniechęcenie i ratuje myśl od rozbicia. Nie ma tu ani śladu buntu przeciw warunkom i prawom. Morris posiada siłę mezkiego poddania się temu, co nieuniknione. W tym duchu umiał zachować tradycye pogaństwa. Jest pogańskim jeszcze i pod tym względem, iż nie wyraża żadnej zasady nowożytnej estetycznej, moralnej lub religijnej.

W pierwszej księdze „Raju ziemskiego" najpiękniejszą opowieścią jest „The Story of Cupide and Psyche" i zarazem dla autora najbardziej charakterystyczną. Morris opowiada tu tylko nieszczęścia Psyche, zesłane na nią przez Wenerę, natomiast przechodzi milczeniem ostateczny tryumf, gdy Jowisz udziela jej nieśmiertelności. Jest to szczegół nader znaczący: apoteoza Psyche oznacza tryumf miłości, jej cierpienia są tylko próbami wstępnemi. Miłość jest to piękna, rozkoszna dolina, otoczona lasem pełnym dzikich zwierząt i straszydeł: trzeba iść naprzód śmiało, nie zwracając na nic uwagi, a cel ostateczny na pewno wynagrodzi trudy. Legenda Morrisa jest przeczeniem tej prawdy: w pogoni za miłością zbieramy tylko cierpienia. Czyżby to było — jak przypuszcza Buxton *) — tylko niezręcznością, wywołaną brakiem miejsca, gdyż każda opowieść ma według planu rozmiary ograniczone? Taki mistrz słowa i formy, jak Morris, nie mógłby być powstrzymany przez wzgląd tego rodzaju, opuściłby raczej szczegóły poprzedzające, albo nareszcie rozbiłby swą opowieść na dwie części, jak to uczynił z historyą Bellerofona. Nam się wydaje, iż w tem opuszczeniu jest myśl głębsza, której szukać by należało w historyi sercowej samego poety, dotychczas nieznanej, i którą tylko pamiętniki M. Rosettiego, (niedawno o nich tu pisaliśmy), po części odsłaniają. Morris miał współzawodnika na polu miłości w osobie przyjaciela, D. G. Rossettiego. Szczegóły tej sprawy nie są jeszcze znane, wiadomo tylko, że Morris otrzymał rękę osoby, o którą obydwaj się ubiegali, przyczem Rossetti był już zresztą gdzieindziej związany. Czyżby w tem nie należało szukać przyczyn cienia, który przesłaniał wciąż pogodną radość bytu Morrisa, cienia, który kazał mu nie wierzyć w nieśmiertelność miłości i zawsze zadawalać się raczej jej stroną artystyczno-pogańską, niż czem innem? W takim razie to wypuszczenie tryumfu Psyche byłoby całkiem zrozumiałe. Człowiek, znający swe siły, uważa się zwykle wyższym po nad kłamstwa uczuć konwencyonalnych. Niechaj ci, którym udało się dopiąć rajów harmonii dusz, śpiewają hosanna! Niechaj stado posłusznych baranów zachwyca się tem, czem przyjęto się zachwycać i udaje rozkosze nadziemskie — ale prawda jest przywilejem silnych. W historyi Psyche Morrisa trudy i cierpienia miłości przeważają i gdy ona tak leży pełna męczarni, nie znając ani nadziei, ani odpoczynku, tylko „Feniks, który przelatywał temi stronami, udając się do Egiptu, uśmierzył jej boleść kroplą litości."

*) *Our living poets.*

Są tu opracowane i inne znane mity greckie np. w „The Doom of King Acrisis" Morris przedstawia romans Jowisza z Danaë z niesłychanym wdziękiem. Tytuły tych mitów dostatecznie świadczą o ich treści: „Atalantas Race," „The Love of Alcestis," „Bellorophon in Argos," „Bellorophon in Lycia" itd. Obok greckich są tu i średniowieczne legendy: „Te Proud King," „The man born be King" charakteru germańskiego i inne zapożyczone z folkloru skandynawskiego. Śród tych ostatnich najlepszą jest „The Lovers of Gudrun." Bohaterką jest piękna Gudrun, nad którą ciąży fatum: wróżbiarze, na zasadzie wieszczego jej snu, głosili, iż przeżyje czterech mężów. Akcya rozpoczyna się po śmierci dwu pierwszych. Kiartan, najszlachetniejszy młodzieniec Icelandu, prosi o rękę Gudrun i zaręcza się z nią. Przed ślubem jednak udaje się z najlepszym swym przyjacielem, Bodli, do Norwegii, gdzie król Olaf rozpowszechnia chrześciaństwo przy pomocy miecza, dla szukania sławy. Wnet po opuszczeniu Icelandu Bodli dostrzega z rozpaczą, iż także kocha Gudrun, odpędza jednak od siebie myśl odebrania jej przyjacielowi. Są bardzo dobrze przyjęci przez Olafa, za co Kiartan wywdzięcza się względami świadczonymi Ingibiorg, siostrze króla. Ona jest wkrótce zakochana, on także znajduje ją czarującą i zdaje się zapominać o Gudrun, gdy tymczasem Bodli coraz głębiej zapuszcza się w swą namiętność. Po pewnym czasie wraca on do Icelandu, przywożąc tylko chłodne pozdrowienia od Kiarkana, opowiada Gudrun o nowych uczuciach przyjaciela i proponujo, aby wyszła za niego. Gudrun się zgadza i wychodzi za Bodli, nie z miłości, lecz z urazy ku tamtemu. Wkrótce jednak Kiartan wraca i żąda dotrzymania słowa: okazuje się, iż tamte miłostki nie były niczem, i że on wciąż kochał Gudrun. Ale jest za późno, Kiartan w złości żeni się z Refną, aby zapomnieć. To jednak do niczego nie prowadzi. Przyjaciele walczą: Kiartan ginie od ręki Bodli, ale i ten zabity zostaje przez rodzinę Kiartana. Gudrun wychodzi jeszcze raz za mąż, jeszcze raz wdowieje i w ten sposób przepowiednia spełnia się. Treść ta wzięta jest z Laxdaelaxaga, ale charaktery narysowane są przez samego Morrisa: przez szlachetność przyrodzoną Bodli długo opiera się pokusie zdrady; miał zamiary dobre, lecz uległ jej, wiedząc zresztą, iż szczęścia nie znajdzie i że serce swe oddaje na pastwę zgryzotom. Nie może odjechać od Gudrun, a z nią czuje się nieszczęśliwym, zwłaszcza iż ona go nie cierpi. Przyjaciele nawet wrogami nie zapomnieli dawnej swej przyjaźni, i walcząc nadstawiają pierś, by umrzeć od ręki jeden drugiego.

Ta stara legenda zachowała całą swą świeżość i surowość w opracowaniu autora. Język dobrany jest tak, aby nie poddawać wcale myśli współczesnych. Toż samo w innej sadze „The Land East of the Sun and West of the Moon."

Taką jest treść trzech pierwszych części „Raju Ziemskiego."

L. W.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Daniel Zgliński. *Szantaż*, sztuka w 3 aktach.

Józef Ormiński był szulerem z powołania. Ogrywał próżniaków i głupców w Lublinie; zapragnął szczęścia w Warszawie. Tu znalazł aż dwa rogi obfitości: do kart przybyła kobieta. W domu swojego przyjaciela, czy też wprost tylko znajomego, poznał córkę pp. doktorostwa Korabielów i zapłonął ku niej miłością. Pewnego wieczora tak straszliwie spłókał swego pana domu, że ten aż się rozchorował, a godne towarzystwo dostało ataku sprawiedliwości i skazało winowajcę—nazwrot części wygranej i pielęgnowanie chorego. Funkcyą siostry miłosierdzia podbijać już zaczął serce Helenki. Dobry początek dodał mu odwagi: postanowił uderzyć o jej rękę. Ale doktor, nie w ciemię bity, uprzedził atak: napisał do Lublina i stamtąd dostał jak najgorszą o Ormińskim opinię. Zbrojny w nią, odmówił mu córki. Na to nikczemnik: „Jutro mi ją pan dasz." I rzeczywiście nazajutrz przedstawił mu dokument, na który lekarz zadrżał. Wyszedł na jaw jego stosunek z jakąś Józefą, krewną Ormińskiego, przed początkiem sztuki już zmarłą. Korabiel lęka się żony, lęka *publiki*, przeciąga sprawę, chce odwlec małżeństwo, stawia warunek oddalenia się, zerwania z przeszłością; w gruncie rzeczy jednak pragnie tylko franta odsadzić. Z Ormińskim jednak niełatwa sprawa: trzyma już na swym żołdzie oboje służących u Korabielów, widuje się potajemnie z panienką w domu jej rodziców, rozdmuchuje płomienie, a gdy Korabiel ostatecznie już córki dać mu nie chce, wydobywa z zanadrza, już nie czyn lekkomyślności, ale wręcz przestępstwo kryminalne, jakiego się doktor w podwójnym charakterze swoim, względem owej Józi był dopuścił. Korabiel mierzy z rewolweru, podstępnie ujętego, i gdyby nie szwagier, poczciwy Żuliński, na świecie byłoby jednym sowizdrzałem i łotrem mniej, jednym przestępcą więcej. Helenka daje się dobrowolnie oderwać od Ormińskiego, a Ormiński ofiary swe wypuszcza. Doktorowa o niczem się nie dowiedziała — i taki jest jedyny jasny wynik akcyi w sztuce p. D. Zglińskiego.

Mieliśmy dotychczas w życiu i na scenie szantaże, wydzierające pieniądze; w nowej sztuce mamy szantaż, wydzierający rodzicom ich córki. Nie badam: gdzie jest społeczeństwo karciane, któreby swych członków, podejrzanych o nadmiar szczęścia w grze, karało tak, jak autor pozwolił ukarać Ormińskiego? Nie dochodzę też: czy dr. Adam Korabiel potrzebował wdawać się w kompromisy, przyjmować łotra, gdy nadeszło owo groźne jutro, z mądrością i umiarkowaniem Nestora radzić nad sposobami oderwania Helenki, wreszcie lękać się sprawiedliwości kryminalnej, gdy owej Józi już na świecie nie było? Sam pomysł szantażu dla zdobycia kobiety: uzbrojenie szantażysty w miłość lecącą do małżeństwa, zastąpienie dobrowolnego oddania porwaniem i porywanie ukochanej rozpalonemi cęgami groźby — uważam za nieprawdziwy, trywialny — nie dramatyczny. Temat p. Zglińskiego jeżeli wdzięcznym dla kogo być może, to chyba tylko dla sędziów śledczych. Znika sztuka, gdzie się zjawia kryminalista. Jest ona od tego, aby nam stawiała przed oczy ludzi z afektami — na najrozleglejszej skali, w najrozmaitszej rdzenności i natężeniu, choćby najujemniejszemi, ale nie przestępców, wykwalifikowanych już na lokatorów więzień. Może się o nią i taka kryminalna już zdrożność otrzeć, może w nią nawet, a częstokroć i musi, wejść; lecz tylko podrzędnie jako podkład społeczny afektów przez żadne w świecie kryminały nie ściganych. P. Zgliński tej właśnie strony człowieczeństwa nie rozwinął; a przez roztaczanie wszerz i wokół pobudek zaciekawiających organa sprawiedliwości państwowej — sztukę swoją uczynił niesmaczną; wstrętności jej zapobiegają nudy.

W *Jakóbie Warce*, dramacie społecznym, p. Zgliński dopuścił się niezmiernie długich dyalogów; w nowej swej sztuce, lecząc się z jednej choroby, wpadł w drugą: Postacie swoje popunktował tylko krótkiemi zdaniami. Nie można nawet powiedzieć, aby to były rzuty psychiki we-

wnętrznej: ludzie w *Szantażu* składają się, nie z krwi i duszy, ale ze słów. Sam dyalog niczem nie uderza, nie pociąga, nie przywiązuje. Wilk się rzuca, lis się czai, wąż wyślizguje się z ręki: praktyczny rozsądek daje natchnienie; egoizm, tak czynny, jak bierny, w ciasnych granicach niewdzięcznego tematu, porusza twórczością. Od tego wszystkiego wieje chłód, jakby od lochów lodowych w Gründelwaldzie. Nie ciepło wychodzi z ludzi, ale jakiś zamróz. W swem życiu psychicznem wyglądają wszyscy tak, jakby się tylko w pomrukiwanie psychologiczne zabawiali. Natury jakieś chore, cierpiące, charlacze, jakby poobtłukiwane figurki. Z wyjątkiem obu przestępców — w sztuce niema nawet złudzenia życia; poczciwy Żuliński jest piątem kołem u woza. Doktorowa słania się jak cień; sentymentalność jej w dwudziestym roku małżeństwa stwierdza tylko zdanie o psychopatyzmie wszystkich tych istot; a rozprawy i rozmowy Helenki z Ormińskim i z rodzicami — nie rosną w konieczności jej uczucia, zrobionego z mgły. *Warka* był wielkiem pudłem, naładowanym tak, że go nikt podjąć i unieść nie mógł; ale sztuka dramatyczna przyznać się do niego musiała; *Szantażu* nikt jej nie narzuci. Jest to duży krok w tył, pomimo nowostylizowanego— na wzorach przynajmniej skandynawskich — dyalogu. Ten dyalog właśnie, do spółki z pomysłem — ściąga nową sztukę p. Zglińskiego w dół niepamięci.

Korabielami byli pp. Leszczyński i Bakiewiczowa, Heleną — p. Czaki, Ormińskim — p. Nowicki, Żulińskim — p. Frenkiel. Ocena gry, wobec małej wartości sztuki, byłaby zbyteczną.

Stanisław Krzemiński.

POEZYE.

ECHA JESIENNE.

I.

Mkną ostatni tułacze
 Jesieni;
Ktoś się żegna, ktoś płacze
 W przestrzeni. —

*

Gaj niebiosom się żali
 Rozgłośnie,
Niebo rzuca jęk fali,
 Co rośnie.

*

Jeszcze kilka upłynie
 Chwil trwania
I Ty westchniesz w godzinie
 Rozstania. —

II.

Już żórawie do słońca
 Polecieły daleko;
W niebie wisi mgła drżąca
 Z oczu ciche łzy cieką.

*

Niech się wiecznie wzrok łzawi
 Niby chmura jesieni;
Nie zawrócić żórawi!
 Nie rozniecić promieni!

*

Ptak odpocznie u zdroju,
 Na kwiecistym kobiercu,
Lecz nie znaleźć spokoju,
 Nie odpocząć już sercu!

III.

W koło cisza bezdenna,
 Dzień omdlewa i kona,
Płacze słota jesienna,
 Płacze dusza stęskniona...

*

Po tem wszystkiem, co jesień
 Mgłą rozwiała z błękitów,
Po dniach młodych uniesień
 I wiosennych zachwytów;

*

Po tem wszystkiem, co było,
 Po śnie każdym, co kona,
Ach! nad każdą mogiłą,
 Płacze dusza stęskniona.

J. S. Wierzbicki.

SPRAWY EKONOMICZNE.

LISTY Z WYSTAWY BERLIŃSKIEJ.

IV.

Bezpowrotnie, zdaje się, minęły czasy, kiedy Sokrates pod odkrytem niebem wykładał uczniom filozofię podczas spaceru, a matematycy oddzielając lekcyj geometryi, kreślili na piasku figury zerwaną z drzewa gałęzią. Czasy te bezpowrotnie minęły, chyba że urzeczywistni się utopia zgasłego w tym tygodniu Williama Morrisa, który w swem *News of Nowhere* marzy o tem, iż kiedyś książki pójdą na stos, a dziatwa zostanie wypędzoną z dusznej komnaty szkolnej na łono przyrody, aby tam bezpośrednio czerpać swe wiadomości. Dziś nawet nędzna szkółka wiejska nie może się obejść bez przyrządów. Tym właśnie przedmiotom związanym z wychowaniem i nauczaniem poświęcono na wystawie oddzielny budynek. Przeglądając ten rozdział i wczytując się w literaturę hojnie rozrzuconą po kolosalnym pawilonie, nabiera się pojęcia, z jakiemi trudnościami musi walczyć przemysł wyrabiający przybory szkolne. Cóż zdawałoby się prostszego nad zrobienie wygodnej ławki, a jednak ze zdziwieniem dowiadujemy się, iż dopiero w ostatnich czasach udało się budowniczemu Rettigowi po długich studyach wymyślić taką, która czyni zadość prawie wszystkim wymaganiom pedagogii, hygieny i ekonomii. Ławka przedewszystkiem powinna być tak urządzoną, aby uczeń mógł opuszczać miejsce nie przeszkadzając sąsiadowi. Nauczyciel zaś powinien mieć łatwy przystęp do ucznia, a chcąc zajrzeć do jego pracy, nie być zmuszonym zbyt się nachylać. Uczniowie nie powinni tworzyć większych grup dla ułatwienia kontroli. Ławka musi się łatwo dać przenosić ze względu na czystość pokoju, a jednak być przymocowaną do podłogi. Kałamarz musi być tego rodzaju, aby nie przeszkadzał w przenoszeniu ławki. Przesunięcie jej przy sprzątaniu powinno być łatwem. Rozmiary ławek mają być takie, aby klasa mogła być ze względu na światło szeroką, lecz nie długą itd. Rettig twierdzi, iż zagadnienie ławy szkolnej nie zostało jeszcze całkowicie rozwiązane, a w pracy swej, wręczonej mi na wystawie, cytuje 187 innych, w których roztrząsano tę kwestyę. A obok ławki mamy w szkole sporo innych przedmiotów: przybory piśmienne, tablicę, mapy, ilustracye przyrodnicze, aparaty fizyczne, gimnastyczne itp. Liczni wystawcy kusili się o rozwiązanie zadań, które nastręcza pokój szkolny. Przypomnijmy sobie, ile to czasu zabierało nam przewracanie tablicy na drugą stronę, gdy jedna była zapisaną od góry do dołu. Na wystawie znajdujemy model pomysłowo urządzonej tablicy, której rozmiary może dowolnie i bez wysiłku powiększyć nawet fizycznie słaby uczeń za pomocą korby, umieszczonej u dołu. Prasa poleca, aby zastosowano tę tablicę do auli uniwersyteckiej.

Z przyrządów szkolnych zwracają na siebie uwagę modele. wyobrażające rośliny w formie plastycznej, lecz powiększonej. Przyrządy te umożliwiają poglądowe objaśnienie niektórych organów nieuchwytnych dla nieuzbrojonego oka, jak np. pylniki. Istnieją dwie niemieckie fabryki. wyrabiające te przedmioty. Oczywiście najwięcej pracy społecznej pochłaniają książki szkolne. Szczególnie uderzają gościa z kraju analfabetów tanie wydawnictwa ludowe. Z Reclamem, który nie pominął ani jednego klasyka, idzie obecnie w zawody Meyer, który zniżył cenę tomiku do 10 fen.! Znajdujemy tu również wydawnictwo ludowe historyi powszechnej Schlossera, znane na całym świecie kieszonkowe słowniki i metody językowe Tousain-Langenscheidta, liczne i piękne wydania greckich i rzymskich klasyków w oryginale i tłómaczeniu itd. Specyalny dział uwzględnia szkoły dla niewidomych. Pomiędzy dziełami, drukowanemi w sposób umożliwiający im czytanie znajdujemy oprócz Biblii, dramaty Shakespeare'a i Schillera. Oczywiście wystawione przedmioty nie dają nam wyobrażenia o urządzeniu rzeczywistych szkół niemieckich.

Szkoły zawodowe i zakłady dobroczynne nadesłały okazy wykończone przez ich wychowańców. Szczególnie dobrze są reprezentowane szkoły fachowe dla kobiet, powstałe z inicyatywy stowarzyszenia kobiecego Lette-Verein'u. Wyroby kucharskie, jak: kompoty, marynaty, likiery itp., a wreszcie robótki, robótki i robótki świadczą o tem, jak Niemki wybierają się na drogę pracy. Jeden z tutejszych Vereinów zajmuje się losem dzieci, kończących szkołę elementarną. Jak świadczy złożony na wystawie dokument, za staraniem tego stowarzyszenia zaprowadzono w sześciu tutejszych szkołach elementarnych wykład gospodarstwa domowego. Prawdziwie naukowe znaczenie posiadają okazy krajowego Instytutu geologicznego i Akademii górniczej. Ta bogata kolekcya uwidocznia przedewszystkiem metodę geologicznego badania gruntu. Znajdujemy nadto zbiór przyrządów do świdrowania ziemi. Mapy wraz ze szczątkami zwierząt ssących okazują nam działanie okresu lodowego. Dwie mapy, składające się z 36 kart, przedstawiają Berlin podług skali 1 : 25,000. Wspaniałe wrażenie robi mapa, zajmująca całą wysokość ściany i połowę jej szerokości, a wyobrażająca środkowy las Turyngeński. Podług tej samej skali i z tymi szczegółami ma być ułożona mapa całych Prus. Będzie to chyba największy na świecie okaz kartograficzny. Doskonale uwydatnione szczegóły i pięknie zrobione farby zniewoliły ostatni kongres międzynarodowy do orzeczenia, iż Niemcy będą posiadały najpiękniejszą geologiczną mapę na świecie.

W sąsiedztwie pedagogii, w tym samym budynku zamieszkała hygiena. Największy nacisk położono na zdrowotność społeczną i pod tym względem najprzedniejsze miejsce zajmują: rząd i miasto Berlin. Państwowe biuro zdrowia (Reichsgesundheitsamt) przedstawiło materyał, unaoczniający rezultaty jego działalności. Z mnóstwa dokumentów przytoczę ciekawe tablice, dające pojęcie o skutkach wprowadzenia obowiązkowego szczepienia ospy. W Rosyi z miliona mieszkańców umiera na ospę 836, w Hiszpanii 638, w Austryi 313, w Belgii 253, we Włoszech 205, we Francyi 148, w Rumunii 54, w Anglii 14, w Holandyi 12. W tych państwach szczepienie ospy nie jest obowiązkowem lub na przekroczenia przeciwko odnośnemu przepisowi rząd patrzy przez palce. Minimalna tego rodzaju śmiertelność wypada w tych państwach, gdzie obowiązek szczepienia ospy jest surowo przestrzeganym: w Danii 3, Norwegii 3, Niemczech 2,3, Szkocyi 0,5, Irlandyi 0,4. Wobec tak

wymownych liczb zdaje się powinny raz na zawsze zamilknąć wszelkie zarzuty przeciwko temu obowiązkowi, a jednak istnieje w Niemczech partya (antisemicka), która w programie swym umieściła żądanie zniesienia tej instytucyi. Również interesująca jest tablica miasta Berlina, która dowodzi, jak kanalizacya położyła tamę spustoszeniom, sprawianym niegdyś przez tyfus. Od czasu wprowadzenia kanalizacyi ilość zachorowań tyfusowych znacznie spadła, przytem każdy pojedynczy wypadek ma określoną przyczynę. Inne tablice dowodzą, iż dzięki wzorowej kanalizacyi Berlin pomimo wielkiej śmiertelności dzieci i grasującej tu tuberkulozy jest jednem z najzdrowszych miast na świecie. Pomiędzy wystawcami urzędowymi figuruje państwowe Biuro asekuracyi robotników. Jak widać z tablic, wypłaca ono rocznie 300 mil. marek tytułem różnych odszkodowań. W tym samym oddziale znalazły umieszczenie różne aparaty ochronne stowarzyszeń robotniczych zawodowych, mające na celu zapobiedz uszkodzeniu zdrowia podczas pracy.

Wystawa pokazuje nam, co przemysł czyni dla człowieka od pierwszych dni urodzenia do chwili, kiedy on opuszcza widownię życia. Postarała się ona nawet uzupełnić ten obraz: wylęgacz otwarty od dwoch miesięcy przyjmuje dzieci, które ujrzały światło dzienne, nie przeszedłszy wszystkich stadyów embryonalnego żywota, a krematoryum pokazuje, jak człowiek w najbardziej hygieniczny, estetyczny i ekonomiczny sposób opuszcza drogę swej ziemskiej tułaczki. Mam na myśli bardzo efektowny budynek towarzystwa palenia zwłok. Dwaj członkowie z własnych funduszów wznieśli gmach, mający na celu propagandę. Znajdują się tam urny z popiołami ludzkimi i trzy modele: krematoryum miasta Hamburga, model Schneidera z Drezna i dr. Świecianowskiego z Warszawy.

Stowarzyszenie powołuje się na uchwały międzynarodowego kongresu lekarskiego w Londynie 1891 r. i hygienicznego w Budapeszcie 1894 r. Uznają one palenie ciał za racyonalny i hygieniczny sposób pogrzebu, szczególnie godny zalecenia w wypadku śmierci od zakaźnej choroby. Stowarzyszenie wydaje czasopismo *Die Flamme.* Rząd pozwolił wznieść na jednym z tutejszych cmentarzy piękne krematoryum, w którem zachowują się urny, zawierające spopielone szczątki nieboszczyków. Zbudowanie kolumbaryum z piecem nie doszło do skutku, gdyż sprzeciwiają się temu rząd i sejm. Trzeba przyznać, że inowacya ta musi walczyć więcej z nieświadomością, niż z fanatyzmem. Śród obrad nad projektem o zniesieniu zakazu palenia zwłok, opowiadano np. w sejmie, iż podczas obrzędu czuć w krematoryum spaleniznę. Jest to nieprawda. Oto zarzuty podnoszone przeciwko dotychczasowemu sposobowi chowania nieboszczyków. Wyszukiwanie placu na cmentarz nawet w bliskości miasta napotyka coraz większe trudności, miejsca na groby drożeją z każdym rokiem; po 20 lub 30 latach, gdy grób nie zostaje opłacony, rozkopują mogiłę a kości wsypują do wspólnego dołu. Cmentarze nie oddziaływają pomyślnie na zdrowotność miast, zwłaszcza w wypadkach epidemii. Urządzone przed kilku laty badanie wykazało, iż z 650 cmentarzy zaledwie 45 odpowiada wymaganiom nowoczesnej hygieny. Wreszcie przytaczają apostołowie palenia zwłok, iż na nowym sposobie wiele zyskują osoby, na których spada obowiązek chowania nieboszczyka. W Paryżu np. spalenie biedaka kosztuje tylko 2,50 fr. Wprawdzie Charon brał jeszcze mniej za przewiezienie do kraju cieniów, bo tylko jednego obola, ale trzeba przyznać, że nowa metoda chowania jest bajecznie tanią, tem bardziej, iż urnę z drogimi popiołami, podobnie jak się to działo w starożytności, można przechowywać u siebie w mieszkaniu.

H. F.

Kolej Wilanowska.

Kolej Wilanowska ma wielkie znaczenie zdrowotne i ekonomiczne. Ułatwia ludności miejskiej wycieczki dla pokrzepienia się świeżem powietrzem na wsi, dała nowe źródła dochodu ludności tej okolicy, przez którą przebiega (chociaż jednocześnie rozwinęła i spekulacyę). Od chwili zaś, gdy ją przedłużono aż do Jeziorny, stała się poważną linią przewozową, ożywiła ruch nietylko osobowy, ale i towarowy, ułatwiła transporty wytworów okolicznych na rynki większe. Dodajmy wreszcie, że w całe to przedsiębiorstwo komunikacyjne włożyli swe oszczędności ludzie niezamożni, zarobkujący mozolnie.

Wobec takiego znaczenia kolei Wilanowskiej zasługuje ona na baczną uwagę, a zarazem i kontrolę ogółu, który radby widzieć tę machineryę jak najprawidłowiej i najsprawniej działającą. Tymczasem dużo już popełniono błędów i niedokładności, niebezpiecznych i dla przedsiębiorstwa i dla ludzi bezpośrednio niem zainteresowanych. Uważamy tedy za konieczne błędy te wytknąć i publicznie zażądać ich sprostowania. Przedewszystkiem dziwną się wydaje tajemniczość gospodarki. Od trzech lat nie zwoływano żadnego zebrania uczestników; nie ogłoszono również ani sprawozdania, ani bilansu przedsiębiorstwa. Prawda—wyznaczono 10% rocznie, ale czy ta cyfra wynika z rachunku racyonalnego; czy można było tyle wydać bez szkody dla funduszu zapasowego i amortyzacyi przedsiębiorstwa? Nie wiadomo również, jaki jest fundusz amortyzacyjny kolei po upływie pięciu lat. Tor oraz cały tabor ruchomy z każdym rokiem musi ulegać coraz większemu zniszczeniu, a więc zmniejsza się jego wartość rzeczywista i buchhalteryjna.

Zarząd kolei przy oddawaniu robót lub dostaw nie wzywa przedsiębiorców do współubiegania się, a jeżeli czasem uznaje ten środek, to tylko dla formy. Wykonanie wszystkich robót zwykle powierza z wolnej ręki jednemu z członków zarządu. Tym sposobem zarząd w jednej osobie ma dostawcę, kontrolera i dyrektora drogi. Kolej Wilanowska według ksiąg stanowi wartość 150,000 rs. Na sumę tę złożyło się 600 sztuk akcyj po 100 rs., 300 świadectw tymczasowych po 100, razem 90,000 rs. Rewersy podpisane przez zarząd 50,000, różne długi i zobowiązania 10,000, razem 150,000 rs. Czy istotnie kolej tyle warta? — Odpowiedź na to pytanie pozostawiamy specyalistom.

Uzyskano obecnie ustawę dla Towarzystwa drogi powyższej. Ale, rzecz dziwna, wcale przed tem nie zapytywano uczestników, czy życzą sobie nowej formy i czy ona odpowie wymaganiom większości. Kapitał akcyjny ma wynosić 300,000 rs. Gdy tymczasem, jak widzieliśmy, wartość książkowa przedsiębiorstwa stanowi rs. 150,000. Cóż się stanie z ową pokaźną nadwyżką 150,000 rs., która dziś nie ma widocznego przeznaczenia?

Złączenie nowych odnóg w jedną całość jest dziełem bardzo ważnem i, oczywiście, racyonalnem; ale chociażby dla formy, dla zadośćuczynienia prostej przyzwoitości i pozorom, należało zapytać akcyonaryuszów o zgodę. Lekceważenie ich świadczy o absolutyzmie zarządu.

Wogóle porządek na linii pozostawia dużo do życzenia. Nieład na każdym kroku uderza nawet spostrzegacza postronnego, wagony brudne, środki bezpieczeństwa od chwili wprowadzenia parowozów bardzo słabe. Dodajmy jeszcze, że zarząd ustanowił zbyt wysoką taryfę pasażerską, nieprzystępną nietylko dla rodzin ubogich, lecz nawet średniozamożnych, bo wycieczka czterech lub pięciu osób pochłania kilka rubli. Należałoby wprowadzić bilety sezonowe ze znaczną zniżką, na wzór kolejowych. Praktyka dowiodła, jak daleco ruch i dochody przedsiębiorstwa wzrastają przy zniżce cen biletów. Zarząd kolei Wilanowskiej powinien o tem dobrze wiedzieć i zarówno w interesie własnym, jak i publiczności, postarać się o możliwie największe uprzystępnienie jazdy w najróżnorodniejszej formie, odpowiednio do potrzeb ogółu. Zarząd wszakże nietylko tej potrzeby nie uznaje, lecz po zbudowaniu kawałeczka linii od rogatek belwederskich do mokotowskich ustanowił dla pokrycia jej kosztów opłatę dodatkową, podnoszącą znacznie cenę jazdy.

Trudnem jest do wytłomaczenia także ociąganie się zarządu ze zwołaniem ogólnego zgromadzenia uczestników, pomimo że ustawę wydrukowano już dość dawno: 20 sierpnia r. b.

P. Huss zaprasza podług alfabetu kolejno każdego akcyonaryusza do swego gabinetu, aby mu wytłómaczyć, czego pragnie i uzyskać zgodę tą drogą, zanadto prywatną i tajemniczą.

Jeżeli zarząd nie chce na siebie ściągnąć więcej zarzutów i podejrzeń, jeżeli czuje się na siłach wyjaśnić i usprawiedliwić wszystkie braki i błędy dotychczasowej swej gospodarki, powinien niezwłocznie zwołać ogólne zgromadzenie i na niem przedstawić całkowity najrzetelniejszy obraz swej działalności. Jak rzekliśmy, akcye przeważnie są w rękach ludzi niezamożnych, dla których parę setek zaoszczędzonych z mozolnej i długoletniej pracy a włożonych w kolej Wilanowską, jest całym majątkiem. Słusznie też mogą być ich obawy o te fundusze, wobec tajemniczości i zagadkowości gospodarki. Droga ta nie jest już prywatną aferą paru kapitalistów, lecz szerszą formą przedsiębiorstwa, do którego wciągnięto liczną rzeszę ludzi. Stała się ona zarazem urządzeniem, przeznaczonem dla wygody i potrzeb ogółu. Więc i on powinien mieć możność darzenia kolei swojem zaufaniem. Na tej zasadzie ma on prawo żądać nietylko rachunku z działalności, ale i wytykać błędy, które skwapliwie prostować [illegible].

Zen. Piet.

W DALI.

Lublin. Osada Kurów w Lubelskiem uległa strasznej klęsce. Przeszło dwieście siedzib spłonęło, tj. 2/3 całej osady. Spaliły się nadto wszystkie sklepy żydowskie z towarami, warsztaty rzemieślnicze itd. Około trzech tysięcy ludzi (w tem około 2,500 Żydów) pozostało na zimę bez dachu, chleba i odzieży. Ludność okoliczna i dalsza pośpieszyła z pomocą; ale ta nie może nawet w cząstce zażegnać nędzy strasznej. — Grono przemysłowców wystąpiło do inżeniera p. A. Weissblatta z propozycyą, aby im sprzedał koncesyę na urządzenie w Lublinie kanalizacyi i wodociągów. Pragną oni dokonać robót i następnie eksploatować te urządzenia na własną rękę.

Piotrków. Wkrótce miasto otrzyma oświetlenie gazowe. Za parę dni bowiem puszczona będzie w ruch gazownia. Na próbę postanowiono najpierw oświetlić aleję Aleksandryjską, następnie część ul. Kaliskiej. W gmachach publicznych, ku zmartwieniu interesowanych, pozostaną jeszcze lampki naftowe. — Dzięki zabiegom chrześciańskiego Towarzystwa dobroczynności, w mieście powstaje stały teatr amatorski, w celu powiększenia funduszów instytucyi powyższej. — Piotrkowska władza gubernialna zaleciła ścisłą rewizyę tkalni, przędzalni, farbiarni i apretur, tudzież mechanicznych zakładów sto-

larskich i ślusarskich w Łodzi, które puszczono w ruch bez załatwienia odpowiednich formalności. — Powstaje Towarzystwo akcyjne huty szklanej ząbkowskiej w gub. Piotrkowskiej, z kapitałem 500.000 rs.

Łódź. Powstają w mieście naraz trzy banki: kupiecki, filia ryskiego i przemysłowy. Założycielami ostatniego będą trzy milionowe firmy.— Miejscowa szkoła rysunków i malarstwa rozwija się ciągle. Rzemieślnicy korzystają ze specyalnych lekcyj wieczornych rysunków technicznych i ornamentacyjnych w ścisłem zastosowaniu do rzemiosł (stolarstwa, ślusarstwa itd.). Zakład ten pozostaje pod kierunkiem artysty-malarza prof. Wołczaskiego. — P. B. Jakobson, właściciel miejscowej szkoły prywatnej, otrzymał pozwolenie otwarcia kursów wieczornych dla młodzieńców, pracujących w zakładach przemysłowo-handlowych. Opłata wynosi 3 rs. miesięcznie.

Radom. Przemysł rośnie coraz bardziej w mieście i całej guberni, nadaje stosunkom społeczno-ekonomicznym charakterystyczne cechy gorączki, spekulacyi itd. Oto są cyfry: R. 1895 było fabryk i zakładów przemysłowych w całej guberni 1,122, a w nich pracowało 9,955 robotników. Wartość produkcyi wynosiła 12,530,619 rs. W porównaniu z r. 1894 liczba fabryk i zakładów zwiększyła się o 138, a produkcya o 877,345 rs. W r. b. powstało kilka fabryk ważniejszych, jak wyrobów ceramicznych i terakotowych, huta szklana, kilka garbarni, klejarnia itd. Grunty podmiejskie sprzedawane są obecnie po 120—180 rs. za mórg. Przeciętna płaca robotnika wynosi 50 kop dziennie. — Przedsięwzięto obecnie badania wiertnicze celem urządzenia wodociągów w mieście.

O PRAWDĘ.

Zapis hr. Kickiego.

Z braku miejsca nie mogliśmy jednocześnie z listem p. prof. A. Białeckiego dać odpowiedzi. Umieszczając ją obecnie, najpierw zaznaczyć musimy, że p. Białecki nie odpiera zarzutów zasadniczych. Te zaś wyjaśnienia, które dał, dotyczą głównie jego własnej osoby. Tymczasem autor artykułu p. t. „Rachunek publiczny“ miał na względzie nie osobę, lecz instytucyę społeczną. Szanowny opiekun zapisu hr. Kickiego twierdzi, że wszystko, co się robi w administracyi, nie robi się z jego woli osobistej, lecz na podstawie decyzyi bądź komitetu Towarzystwa, bądź Rady zawiadującej. To zarzutów nie usuwa, lecz tylko obarcza nimi i ów komitet i Radę. Autor listu, z którego redakcya nasza zaczerpnęła dane, mówiąc o dochodzie Orłowa, miał na myśli to, że majątek taki piękny i bogaty mógłby dawać więcej, niż daje. Twierdzenie, że Towarzystwo nigdy nie prowadziło układów o wydzierżawienie Orłowa, nie zaprzecza temu, iż był kandydat, który chętnie dałby za dzierżawę majątku 10,000 rs. (nie *tysiąc*, jak jest w liście p. Białeckiego, skutkiem omyłki korektorskiej). Towarzystwo uważało to za nieodpowiednie, ze względu na testament hr. Kickiego. Pogląd taki jest błędny, bo wydzierżawienie majątku dobremu agronomowi nie byłoby pogwałceniem woli zapisodawcy. Testament nie robi wyjątków, nie zastrzega że można wydzierżawiać tylko mały folwarczek, jak to uczyniła opieka legatu.

Wyliczone sumy na urządzenie i utrzymanie stacyi sobieszyńskiej jeszcze nie dowodzą, że są one dostateczne i że stacya odpowiada całkowicie swemu zadaniu. Pozostaje tedy zarzut w całej rozciągłości: że stacya przynosi usługi pożądane tylko większym właścicielom ziemskim, nic zaś nie czyni dla włościan, pomimo, że testator bardzo gorąco polecał ich pamięci wykonawców woli. Pozostają również niezbite najważniejsze zarzuty, które powtarzamy dosłownie według brzmienia w artykule „Rachunek publiczny:“ „Zasadniczym warunkiem zapisu między innymi jest uzdolnienie ludu do pracy produkcyjnej. Dość wczytać się uważnie w testament, ażeby tę myśl hr. Kickiego odnaleźć kilkakrotnie w jego zleceniu. Wszakże pod tym względem prawie nic nie zrobiono. Zapisodawca dość jasno określa cel instytucyi niestworzonej: takiego zakładu, w którym włościanie — kobiety, mężczyźni i dzieci, mogliby się uczyć rzemiosł pożytecznych, niezbędnych w ich gospodarstwie. Myśl to świetna: należy tylko ją rozwinąć i w czyn wcielić. Lud nasz najmniej umie radzić w zakresie ulepszeń technicznych swego gospodarstwa. Nie może on mieć tanich narzędzi, zastosowanych do jego kultury rolnej. Nie umiałby zresztą naprawić ich w razie zepsucia. Czyżby tedy było trudno rozejrzeć się po świecie i wzorem innych urządzić w Orłowie lub Sobieszynie praktyczną szkołę mechaniczno-techniczną, odpowiadającą potrzebom włościan? Byłyby to właściwie warsztaty pod kierunkiem specyalistów, gdzie uczonoby się wyrobu narzędzi i machin rolniczych najprostszych, oraz ich naprawy. Należałoby prócz tego stworzyć inne warsztaty do nauki tych wszystkich rzemiosł, które wpłynęłyby na większą, niż dotąd zaradność ludu i rozwinęły środki zarobkowania jego przy jednoczesnej gospodarce na roli.

Nadto włościanie powinni mieć wzór gospodarki płodozmiennej na takiej przestrzeni gruntu, jaką średni chłop posiada. Tylko przykład namacalny może dać pożądane wyniki. Na pewnej przestrzeni gruntu pod kierunkiem wytrawnego specyalisty powinna być rok rocznie prowadzona gospodarka czysto chłopska przy pomocy samych włościan, ażeby tem łacniej się wdrożyli do nowych metod i nabrali do nich zaufania. Powinny wreszcie być należycie urządzone stajnie i obory zarodowe, za których pośrednictwem lud mógłby poprawiać i wzmacniać swój inwentarz żywy.“

Tego wszystkiego nie zrobiono, chociaż zapisodawca pragnął urzeczywistnienia podobnych urządzeń. Na to autor artykułu „Rachunek publiczny“ położył nacisk i zaznaczył błąd, że wcześniej pomyślano o rzeczach zbytkownych, jak odnowienie pałacu i wypielęgnowanie ogrodu w Orłowie, niż o wypełnieniu najważniejszych warunków zapisów, które przyniosłyby istotny pożytek społeczny. Wreszcie pozostaje jeszcze jeden zarzut: brak dokładnych i świeżych danych o Rzyczkach, dobrach odosobnionych, a stanowiących część zapisu hr. Kickiego. W końcu dodać musimy, że autor informacyj nam dostarczonych podpisał się dla wiadomości redakcyi, która w danym wypadku uznała za zbyteczne ogłaszać jego nazwisko. *Red.*

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Sprawę wprowadzenia organizacyi ziemskiej w generał-gubernatorstwach kijowskiem i wileńskiem — jak utrzymują *Birż. Wied.* — należy uważać w zasadzie za rozstrzygniętą.

— We Lwowie powstał „Związek szewców,“ stowarzyszenie z ograniczoną poręką. Celem jego jest uzyskanie dostaw dla armii, założenie wspólnej pracowni i składu, oraz własnego handlu skór i materyałów, niezbędnych w tej gałęzi rzemiosła.

— Powstaje Towarzystwo wzajemnej pomocy techników górniczych w okręgu zachodnim.

— W Wieluniu, mieście powiatowem, liczącem 6,000 mieszkańców, założono Towarzystwo muzyczne. Chór liczy 20 śpiewaków. Inicyatorką zawiązania jego była p. Sobolewska.

Szkoły. Uznano za konieczne stworzenie następujących szkół agronomicznych: Jeden instytut wyższy na południu państwa; w głównych okręgach rolniczych szkoły średnie; niższe — po jednej w każdej gubernii, nadto postanowiono popierać w tej mierze działalność i zabiegi prywatne. Dalej: pięć szkół ogrodniczych i wyższe kursy ogrodnictwa; specyalny instytut mleczarski lub wyższe kursy mleczarskie, w celu przygotowania fachowców i nauczycieli dla niższych szkół, które są niezbędne we wszystkich miejscowościach państwa. Przy szkołach średnich należy otworzyć oddziały dla techników pszczelarskich. Zarząd szkół rolniczych zogniskuje się w ministeryum rolnictwa, przy udziale odpowiednich instytucyj i organów miejscowych.

Sądy. We Lwowie przed sądem przysięgłych rozpoczął się d. 27 b. m. proces w sprawie emigracyi włościan galicyjskich do Brazylii. Na ławie oskarżonych zasiadł 49-letni Marcin Gorgl, kowal, zamieszkały stale w Galicyi. Trudnił się on zawodowo faktorstwem emigracyjnem i rozpisał tysiące listów do włościan galicyjskich, zapewniając ich, że za złożeniem na jego ręce kwoty 10 złr. będą mogli bezpłatnie odbyć podróż z Hamburga do Brazylii. Oprócz tego wyłudzał od nich także pomniejsze kwoty. Żandarmerya znalazła w jego domu rachunki, z których wynika, że wyłudził od grudnia r. z do marca r. b. 1,715 złr.; w rzeczywistości kwota ta musi być znacznie większa. Włościanie, wyprzedawszy wszystko, znaleźli się naraz na bruku w Hamburgu, gdzie się dowiedzieli, że ich oszukano i że chcąc dostać się do Brazylii, muszą za transport rodziny kilkaset marek zapłacić. Do rozprawy, którą rozpisano na cztery dni, powołano 46 świadków, oprócz tego złożono setki listów włościan oszukanych. Gorgla oskarża prokurator o zbrodnię oszustwa. W grudniu stanie przed przysięgłymi niebezpieczniejszy jeszcze agent emigracyjny, Szczerban, który działał w Galicyi wschodniej, a pokątne swoje biuro emigracyjne utrzymywał we Lwowie.

— W sprawie redaktora i wydawcy *Muchy*, Władysława Buchnera, podprokurator p. Kupfer wniósł protest apelacyjny do izby sądowej warszawskiej, żądając uchylenia wyroku poprzedniego i skazania Buchnera z art. 1457 kod. kar.

— W senacie rządzącym roztrząsana była w drodze apelacyjnej sprawa b. policmajstra Radomia, rotmistrza Kiryczenki i innych osób. Wydano wyrok następujący: Po zastosowaniu Najwyższego Manifestu uważać podsądnego Kiryczenkę za uwolnionego od służby z decyzyi sądu; strażnika Warłamowa po pozbawieniu praw szczególnych oddać do rot aresztanckich na 5 miesięcy; podsądnych żydów osadzić w więzieniu: Blata na 5 miesięcy, Chwata na 2 m.

Koleje i komunikacye. Wkrótce rozpoczęta będzie budowa kolei od Czelabińska przez Orenburg do Taszkientu.

— Zatwierdzono koncesyę tramwajów łódzkich, które eksploatować będzie grupa przemysłowców miejscowych.

— Ustanowiono bezpośrednią komunikacyę z Rewla do Aleksandrowa pogranicznego przez Warszawę.

— Budowę kolei obwodowej w Łodzi postanowiono oddać Tow. kolei Fabryczno-Łódzkiej.

— Pierwszemu Towarzystwu kolei podjazdowych nadano prawo budowy i eksploatacyi następujących linij: od stacyi Jurkówki kolei Południowo-Zachodnich do m. Jampola i od przystanku Rudnice tychże kolei przez Ujście do stacyi Gołty, z odnogami do cukrowni berszadzkiej i mohylewskiej. Towarzystwo zwolnione jest od budowy telegrafu, lecz za to obowiązane jest urządzić komunikacyę telefoniczną.

— Zarząd komunikacyi okręgu warszawskiego przystępuje na wiosnę do budowy nowych dróg bitych w Królestwie Polskiem. Na koszty przeznaczono 200,000 rs. Szosy wojskowe mają przejść pod zarząd okręgu komunikacyjnego.

Gospodarka miejska. Towarzystwo „Elektryczność,“ założone wyłącznie przez kapitalistów tutejszych z celem eksploatowania wynalazków i zastosowań na polu elektrotechniki, szczegółowo opracowywa plan wprowadzenia tramwajów elektrycznych w Warszawie. (*Kur. warsz.*).

Poczta. Przyłączono do związku pocztowego międzynarodowego wyspy św. Heleny i Wniebowstąpienia (Ascension).

Wystawy i zjazdy. Straty, poniesione przez przedsiębiorców prywatnych z powodu wystawy berlińskiej, szacują na milion marek. Ogłosili upadłość: przedsiębiorca, który urządził wielki zajazd przed wejściem na wystawę, hotel wystawowy, teatr Alt-Berlin, Towarzystwo omnibusowe, dzierżawcy wielkich restauracyj i wielu innych.

— Dn. 15 maja r. p. otwarta będzie w Sztokholmie wystawa skandynawska w związku z 25-tą rocznicą wstąpienia na tron króla Oskara II. Rosya weźmie udział urzędowy w dziale sztuki, futer, skór i wyrobów kauczukowych.

— R. 1899 otwarta będzie w Berlinie wielka międzynarodowa wystawa sztuki.

— W Petersburgu wkrótce otwarta będzie wystawa artystyczna francuska

Odczyty. Dnia 3-go listopada w sali Muzeum rzemiosł rozpocznie się szereg odczytów popularnych z zakresu sztuki stosowanej do przemysłu,

budownictwa itd. Odczyty wygłoszą pp.: Gerson, Lebiedziński, Znatowicz i Goldberg.

Wypadki. Parowiec „Arago" zatonął na wybrzeżach Oregonu. Z załogi zginęło 23 ludzi.

— W Karyntyi, Krainie i Tyrolu powódź poczyniła wielkie spustoszenia.

— W Hołoskowie, pod Kołomyją, spotkały się dwa pociągi towarowe skutkiem złego nastawienia zwrotnicy. Konduktor zabity, czterech oficyalistów ranionych; parowozy i wagony zgruchotane.

Zmarli. Eugeniusz Skrodzki (Wielisław) w Radomiu, literat i powieściopisarz. Oprócz powieści pisał opowiadania z przeszłości w formie anegdotycznej. Był w tym zakresie niewyczerpanym, gdyż pomimo sędziwego wieku (75 lat) posiadał pamięć ogromną, a przytem godną podziwu pogodę umysłu.

— Michał Rogoziński, w Warszawie; prawnik, b. członek senatu i dyrektor b. komisyi sprawiedliwości, a od czasu reformy sądowej r. 1876 prezes II-go departamentu cywilnego izby sądowej w Warszawie. Na wszystkich tych stanowiskach był nadzwyczaj czynnym.

— Karol Gomes, w Ameryce południowej, znakomity kompozytor muzyczny. Kilka jego oper zyskało uznanie.

— Challemel-Lacour, w Paryżu, b. minister, prezydent senatu, publicysta i uczony.

Odpowiedzi Redakcyi

Panu J. Al. w P. W obu wierszach obrazowanie mętne, myśli zagadkowe.

Panu S. Wrzosowi. Wierszowanie gładkie, ale utwory nie posiadają barw świeżych, oryginalnych. Te myśli, porównania, skargi są tak powszednie i stare, jak poezya.

Sprostowanie. W numerze poprzednim w artykule „O prawdę" w punkcie 8-ym winno być: „Założenie szkoły rolniczej kosztuje dotąd około *50,000* rs."

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 18 Октября 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.